

M. L. L. L.

Zygmunt Fijas

CZARNY MATWIEJ

ALBO DZIŚ WIECZOREM STRZELANO...

OPERA-ZBÓJECKA

ILUSTROWAŁ IBIS-GRATKOWSKI

Szperając w bibliotekach w poszukiwaniu interesujących nasz skromny kciuk humorystyczno-satyryczny kuriozów, znaleźliśmy parnikilowy rękopis ni to widowiska operowego, ni bohaterkiej operetki, który po dość długich targach redakcyjnych uchwaliliśmy przedstawić bezum czytelnikom (i kompozytorów scenicznych). Sądźmy, że jedni i drudzy wyniosą korzyść z lektury jedenastuaktowego dziełka, które, jak się nam wydaje, jest w dziedzinie zbójceckich librett



czymś równie wstrząsającym, co jedno z „dzieł wiewięciu klejnotów” dworu indyjskiego króla Czandraghanty II Wikramadityji z potężnej dynastii Guptów — „Siakuntala” poety Kalidasa. Niech nas nie zrażają niedociągnięcia rytmu i niedoskonałości rymowe... w nieustającej pogoni za jakością mijamy przed oczyma i ilość: ta droga przecież uratowała Ignacego Kraszewskiego, Waltera z Vogelwajdy i tylu innych pisarzy — od zapomnienia.

Nasza szkołka

Traktacik

BOHATERSTWIE

(r z e c z s e r i o)

Rozdział pierwszy:
PUSTA TECZKA

Pasjonuje mnie następująca kwestia: czy mieszkańcy Torunia wybudują ob. Irenie Śmiesznej pomnik, czy też będą ją wytykać na ulicy palcami, dyskretnie się podśmiewając.

Jak podała PAP, Irena — nomen omen — Śmieszna stała się bohaterką wydarzenia tragi-komicznego. Pracuje ona jako kasjerka. Pewnego dnia, gdy wracała z banku napadli ją bandyci. Obywatelka ta stawiała dzielny opór nie chcąc oddać napasnikom teczki. Zadano jej więc cios w głowę, straciła przytomność, teczka jej odebrano, delikwentkę przewieziono do szpitala, bandytów schwytała milicja.

Ob. Śmieszna odzyskuje w szpitalu przytomność i przypomina sobie, że teczka, której dzielnie broniła była pusta, zeznaje także, że w momencie napadu zapomniała o tym, iż pieniądze, które poszła podjąć nie nadeszły na konto jej instytucji ergo ich nie miała.

Z historii tej płynie kilka wniosków natury psychologicznej lub moralizatorskiej.

1) O rzeczach istotnych nie należy zapominać nawet wtedy, gdy napadają na cię bandyci.

2) Ob. Śmieszna jest osobą uczciwą i to nie dlatego, iż dzielnie broni (w swoim ówczesnym przekonaniu) państwowych pieniędzy, ale dlatego, że po wypadku nie udaje, iż broniła świadomie pustej teczki dla zasady, z racji wrodzonych jej cnót poczucia sprawiedliwości, njechęci do bandytyzmu czy skłonności do gestów bohaterkich, ale przez skromne i ludzkie zapomnienie.

3) Ob. Śmieszna godna jest premii, orderu, wzmianek i zdjęć w prasie czyli całej aury należnej bohaterom dnia i to nie dlatego, iż czyn jej subiektywnie jest równie bohaterki, jak wówczas, kiedy teczka wypchana byłaby państwową forsa, ale właśnie z uwagi na owo szpitalne zeznanie, może nie świadome, ale programowo antybohaterki, ukazujące psychologiczne kułisy wszelakiego aktu heroicznego, jako funkcji przypadkowego odruchu, irracjonalnego zrywu.

Irena Śmieszna oddaje więc ogromną usługę na rzecz walki z panującym w Polsce kultem bohaterkiego gestu o irracjonalnym podłożu.

Rozdział drugi:
CASUS ANNA FRANK

W branży bohaterkiej dzieje się w świecie rzeczy dziwne, wobec których wyraziście pozostajemy w tyle.

Belfer ma tu na myśli ogromnie ciekawą sprawę kariery An-



ny Frank. Jej echa sporadycznie przenikają na łamy polskiej prasy. Ostatnio np. „Sztandar Młodych” doniósł o uchwale rady miejskiej jednego z zachodniopolskich grodów, postanawiającej z funduszy własnych odbudować dom w Amsterdamie, w którym Anna Frank z rodziną ukrywała się przed hitlerowcami.

Europę zachodnią, a po części i Amerykę opanował istny „szal” Anny Frank”. Przybiera on formy pośrednie pomiędzy nową religią, w której żydowska dziewczyna pełni rolę hoga, a jej krewni świętych — a nową ideologią. Mnożą się organizacje i kluby „Im. Anny Frank”, a literatura na ten temat zapewniłaby pokaźną biblioteczkę. Sam pamiętnik Anny aktualnie ma wyższe nakłady niż biblia. W Holandii w każdym prawie domu wisi jej portret. Wizerunki dziewczyny znajdują się też w wielu domach niemieckich, francuskich i szwajcarskich. Odbывают się zjazdy i pochody „annofrankowskie”.

str. 2

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 29 czerwca 1958 r. Cena 1 zł nr 18



UDZIAŁ BIORA:

RYBAK I RYBARKA

HERSZ ZBÓJCOW CZARNY MATWIEJ

CHÓR ZBÓJCÓW

ZBÓJCA BAMBINO NA KOLANACH PRZEWODNICZĄCE CO CHÓRU ZBÓJCÓW

BARON CARUSO - HYDRARGIUM, PIŁOŚNIK KOBIECI, RECENTY, ZENTY MUCZNY, OBSZARNIK W TOWARZYSTWIE ARCYKSIEŻNEJ ZUBEK

STR. 7

ŁOWICKIE POKŁADZINY

Tekst: JERZY TYNECKI
Zdjęcia: LEON OLEJNICZAK

Bracie! Takich Dni Warszawy nawet nie będzie. Przez siedem (ściśle: 10) dni mieszkańcy nic, tylko piją — rzekł znajomy, zanim zrobił wzmiankę do katolickiego czasopisma o 12 paralatach, którzy leżą w kolegiacie łowickiej, o czym podobno nikt nie wie. Jest czerwiec — początki odpustów i rocznic. W niedzielę, 15 czerwca kto żyw jedzie do Łowicza na jego Dni, a na przystanku autobusowym w Łodzi za krańcówką ósemki stoi porządnie kolejka wiernych, czekających na autobusy do Łagiewnik na odpust św. Antoniego. Podjeżdżają ściągnięte z pl. Dąbrowskiego dodatkowe wozy: jeden, dwa, trzy... dziewięć.

str. 5



A oto i papieroplastyka.

(rzec serio)

zestr. 1

Nasza szkoła

wokół jej sprawy i postaci tworzy się cały system przekonań, dosyć rozbudowane konstrukcje ideologiczne. I, o dziwo, nowa wiara wyznawana jest przede wszystkim przez młodzież.

**Rozdział trzeci:
PARADOKS
PIERWSZY**

W związku z postacią Anny tragedia żydowska z II wojny światowej jest jedną ze spraw wzbudzających aktualnie ogromne zainteresowanie, jest przedmiotem studiów i dociekań. I tu potykamy się o pierwszy paradoks. Hitler wymordował kilka milionów Żydów. Jest to zbrodnia tak ogromna, iż nie mająca, przynajmniej w Europie, równego precedensu. Zbrodnia, która musiała jakoś zaciążyć nad XX wiekiem i poruszyć umysły w sposób trwały. Tragedia żydowska zbiegła się z wojną. Żyła w społecznym zainteresowaniu tak długo, jak długo świat kręcił się wokół problemów minionej wojny — to znaczy przez pięć, osiem lat. Po tem życie normalną koleją poszło dalej, okazjonalnie tylko się zajmując minionymi tragediami. I oto sprawa zbrodni hitlerowskiej wybuchła na nowo, ale poprzez jeden ze swoich mikroskopijnych epizodów, poprzez fakt, iż pewna mała żydowska dziewczynka napisała w czasie wojny pamiętnik. Sprawa żydowska odżyła jako tło do historii Anny Frank i jej pamiętnika. Tu pięć milionów ludzi — tam jedna dziewczyna — wyrostek nieledwie. Te proporcje zadziwiają.

**Rozdział czwarty:
TROCHE
HISTORIOZOFII**

Każde wielkie wydarzenie historyczne, czy wojna to, czy zwycięstwo, czy zbrodnia i tragedia — mają swoich bohaterów. W pamięci potomnych pozostają jako scenariusz — historyczne tło działań bohaterów. Jest to jakaś prawdziwość psychologii społecznej. Sposób pozwalający na ogarnianie rozumem i uczuciem zjawisk złożonych i w pewnym sensie abstrakcyjnych. Pokolenie, które oglądało na własne oczy eksterminację Żydów nie budowało mitów bohaterskich. Wiedziało, że zabito pięć milionów, a nie mogąc wyobrazić sobie objąć rozumem tej liczby, zachowywało w pamięci jakiś szczegół przez się spoprostowany, jakiegoś wydarzenia z „własnej ulicy”. Pokolenie młodsze, które już nie pamięta wypadków, kreowało swojego bohatera: Annę Frank. Każdy bohater jest mitem bardziej tylko lub mniej zbliżonym do rzeczywistości, elementem zaciemniającym rzeczywistość historyczną, a raczej adekwatność jej odbicia w społecznej świadomości, a zarazem jednak jest czynnikiem przybliżającym ją do ludzi. Zja-



wisko bohatera zawsze ma w sobie coś irracjonalnego. W wypadku Anny Frank irracjonalność ta jest szczególnie wielka. Anna różniła się od setek tysięcy takich jak ona, wymordowanych dziewcząt żydowskich tym i tylko tym, iż napisała pamiętnik, który zresztą nie stanowi rewelacji ani z punktu widzenia historycznego, ani artystycznego. Jest ciekawy jak na piętnastoletnią dziewczynę. To wszystko. Pamiętnik ten, po odnalezieniu, został rozreklamowany, zresztą z przyczyn czysto handlowych. Dzięki tej właśnie reklamie firmy wydawniczej powstał nowy bohater naszego wieku.

**Rozdział piąty:
PARADOKS DRUGI**

Ludzkość wybiera sobie takich, a nie innych bohaterów z uwagi na to, iż skupiają oni jakiegoś szczególnego cełności, rzeczywiście bądź urojone cnoty. Ze czymś znacznym się wslawili. Światowym bohaterem tragedii żydowskiej mógłby być Anielewicz — przywódca powstania w getcie warszawskim. Nie został nim. Bohaterem mógłby być Janusz Korczak, prowadzący na śmierć dzieci i opowiadający im piękne bajki. I on nie zrobił światowej kariery. Przypadła ona w udziale Annie Frank. Nie jest to przypadek. Sprawa reklamy wydawniczej niczego nie tłumaczy. Widocznie istniało społeczne zapotrzebowanie na takiego a nie innego bohatera. Bohatera nie heroicznego, przeciętnego, obdarzonego urokami „zwyyczajnej dziewczynki”, bohatera, którego jedynymi cnotami są wręczliwość i zdolność obserwacji, bohatera, który nie działa, a jest tylko przedmiotem zbrodniczych czynów innych ludzi. Bohatera, o którym się wie, że nieczym nie wyróżnia się spośród masy i świadomie dlatego właśnie go się wybiera dla zbiorowego czczenia. Casus Anna Frank jest ciekawym i istotniejszym przyczynkiem do poznania procesów socjologiczno-psychologicznych, charakterystycznych powojenne pokolenie Europejskich, niż wszystkie „analizy” zjawisk chuligaństwa i aidoowości.

Tu właśnie zakopany jest jakiś wielki klucz do poznania współczesnej młodzieży.

**Rozdział szósty:
WESTCHNIENIE
DO KOŚCIUSZKI**

Belfer, rozpisawszy się, kończy już a to modlitewnym westchnieniem: daj Boże, żeby i polskie umysły załudnił bohaterowie kameralni: uczelwo-komiczni na wzór Ireny Śmieleskiej, albo szaro-przeciętni na wzór Anny Frank. Żeby byli mniej narodowo-heroiczni.

Gdyby to się stało, byłoby to sukcesem dla sprawy polskiego socjalizmu na pewno nie mniejszy niż wybudowanie Nowej Huty.

Panie Kościuszkol! Przeostań się gapić na nas z nieba, zajmij się swoimi sprawami.

O to uprzejmie Cię proszę
Belfer

18.VI.1958.

JAN ADAMOWSKI

BEZPAŃSKIE DOMY

czyli

gospodarz pilnie poszukiwany

Na wstępie pytanie: jak by postąpił przedwojenny kamienicznik, gdyby przedsięwzięcie budowlane spartaczyło mu nowy dom? Nie zapłaciłby ani grosza i wytoczyłby wykonawcy proces, żądając słusznie odszkodowania za poniesione straty.

A jak postępuje nasz DBOR, pełniący funkcje inwestora? Przyjmuje na ogół wszystkie prace budowlane, niezależnie od ich jakości.

Już słyszę protesty: autor „nie ma pojęcia o zagodnieniu”. Istnieją przecież fachowe komisje kolaudacyjne. I cóż nam z tego, skoro w wielu wypadkach komisje przyrzucają oczy na brakrobstwo projektantów i wykonawców. Podobnie i DBOR. Przykłady? Gdybyż to ich brakowało!

Ulica Drewnowska nr 10. Osiem lat temu wybudowano tu trzypiętrową kamienicę. Mieszka w niej 16 rodzin. Od pierwszej chwili lokatorzy alarmowali o wadliwym wykonaniu dachu. Deszcz przecieka do mieszkań położonych na III piętrze. Przyzywają komisje i brygady remontowe. Szacują, delibierują, naprawiają i... rokrocznie to samo. Reperacje udają się a dach nadal przecieka. Zrozpaczeni lokatorzy przysłali w końcu do redakcji.

Pojechałem więc zobaczyć, jak żyją ludzie w nowych domach.

Mieszkanie ob. Szczerowskiego przypomina raczej stęchłą, walaącą się norę. Ściany i sufit czarne, splekane, zmurszałe i zagryzione. Dotkniesz palcem — dziura. W pokoju jadalnym, kuchni i syplalni — wanny miednicę, wiadra, służą jako zbiorniki wody deszczowej. Dzieci Szczerowskiego — chore na atretyzm. Podobnie — w mieszkaniu Stanisława Burdona. Co roku budżety rodzinne lokatorów kurczą się o 3-4 tys. zł przeznaczane na odświeżenie wnętrza. Nie pomagają interwencje, skargi i zażalenia w Prezydium DRN Bałuty, w MZBM i w dzielnicach innych instytucji. Nowy dom wygląda od wewnątrz jak ludzki organizm przeżarty działaniem złośliwego raka.

Już słyszę jak mi odpowiadają: — „Autor wraca do starych historii, do minionego etapu. Dziś jest inaczej”. Czyżby? Niedawno redakcję „Głosu Robotniczego” odwiedziła 25-osobowa delegacja lokatorów nowo-wybudowanego domu. Mają podobne „stare” kłopoty. a i „nowych” nie brak — nie ma gazu, światła elektrycznego itp.

Dlaczego o tym piszę? Czy po to, by natrzaskać się z naszymu budownictwu? Nie tylko. Chodzi mi o zgola inną sprawę.

W związku z przeprowadzoną obecnie reformą czynszu mieszkaniowego powstało sporo zamętów, padają głosy usiłujące w zgola opanacny sposób uzasadnić notabene konieczną i słuszną decyzję. Przede wszystkim kolportowany jest złośliwy pogląd, że większość lokatorów dewastuje mieszkania w nowych blokach, trzymając w łazienkach węgiel, drób, a nawet frzódę chlewną. Takie wypadki są oczywiście możliwe, lecz jednak dla Łodzi nietypowe. Typowym zjawiskiem są raczej czysto wyfroterowane posadzki i niestety odpadają-

ce od wilgoci płyty sufitu i ścian. Widzi się to zarówno w nowych domach, jak też i solidnych, mocnych budynkach z okresu międzywojennego.

Dlaczego tak się dzieje?

Trudno doszukać się dziś w Polsce prawdziwego gospodarza domu. Drabina uprawnień i odpowiedzialności jest tak wysoka, a przepisy tak zagmatwane, że nawet najgenialniejszemu umysłowi nie łatwo odpowiedzieć na pytanie, jakie w końcu prawa i obowiązki spadają na lokatora, jakie zaś na gospodarza.

A tak naprawdę — to ustawy lokatorskiej nie ma. Prawo nie broni lokatora przed najbardziej nonsensowymi decyzjami. Najwyższa (poza Ministerstwem Gospodarki Komunalnej) instancja — Wojewódzka Komisja Lokalowa jest władną przesiadać, dosiedlać i wysiedlać, niekoniecznie pytając o zgodę lub zdanie lokatora. Brak stabilności w polityce mieszkaniowej ugruntuował opaczne przekonanie: „To nie moje, lecz państwowe”. Obojętność lokatorów wobec zamieszkiwanych domów spowszechniła.

Z drugiej strony publiczna gospodarka lokalowa zrodziła ogromny i scentralizowany aparat biurokratyczny, który w wielu wypadkach nie ponosi żadnej odpowiedzialności ani przed państwem ani przed lokatorami.

I w tym wypadku łatwo, niestety, o dowody.

Na najniższym szczeblu wspomnianej drabiny stoi tak zwany gospodarz domu. Po staremu — dozorca, albo „cieć”. Stanowisko swe traktuje jako zajęcie uboczne, poniżej jego możliwości, dające mu, oprócz niewielkiej pensji, bezpłatne mieszkanie, światło i opał. Najczęściej pracuje w jakimś przedsiębiorstwie, a funkcje „gospodarza” pełni w wolnych od pracy godzinach. Dlatego tak często klatki schodowe, dziedzińce, ulice pełne są brudu i śmieci. I to jest pierwsza fikcja.

Drugą stanowi administracja domów mieszkalnych. Pojęcie — administrowanie — wiąże się z określonymi kompetencjami, choćby — dysponowaniem pewnymi środkami finansowymi na bieżące potrzeby posesji. Takich uprawnień nie posiadają dzisiejsze Administracje Domów Mieszkalnych (ADM). Są one raczej sprawną instytucją pobierania czynszów.

Trzeci szczebel fikcji — to rozgależony aparat MZBM (Miejskich Zakładów Budynków Mieszkalnych). Tu już mamy do czynienia z placówką o szerokim zasięgu, z dyrektorami, kierownikami resortowymi, personalnikami, planistami, księgowymi, maszynistkami itp. Jest to rzec można „sztab generalny”, kierujący wielkim frontem zwanym dzielnicowa gospodarka mieszkaniowa. O losach domów i mieszkań decydują z góry opracowane plany i fełli jakiś obiekt „wypadł” z planu, nie pomogą już żadne interwencje. Mógł nie wypaść, prawda? Trzeba czekać rok, dwa i dłuższy; remontować! Z pola widzenia znikła tu prawie zawsze pojedynczy lokator i jego kłopoty mieszkaniowe.

Jest jeszcze jeden „gospo-

darz”, reprezentujący rzekomo interesy lokatorów. To komitety blokowe. Wydawałoby się, że do ich podstawowych funkcji należy współpraca z ADM w zakresie zarządzania, eksploatacji, remontów, utrzymania stanu sanitarno-porządkowego. Gdzież tam! Społeczną ideę samorządu lokatorskiego sprowadzono do roli młodszego pomocnika władzy terenowej, a często wprost wypaczono. Tak np. instrukcja Stołecznej Rady Narodowej z 1952 r. głosi, że do zadań komitetów blokowych należy... „walka o pokój i plan 6-letni”. W całym kraju obarczono je dość osobliwymi powinnościami administracyjnymi. Podpisują zgłoszenia dla radio-abonentów, ustalają stan majątkowy i rodzinny lokatorów dla potrzeb władz, urzędów oraz zakładów pracy, a nawet wydają zaświadczenia dla ZUS celem utrzymania wyprawki dla niemowląt. Tylko, że ta działalność, przypominająca skrzyżowanie poborcy podatkowego z Instytutem Socjologicznym, nie ma nic wspólnego z troską o domy.

A więc i ta rzekoma reprezentacja ludności jest równie fikcją, jak dotychczasowe administrowanie budynkami.

Nie jestem za wskrzeszeniem prywatnych kamieniczników. Jestem natomiast za takim zorganizowaniem systemu publicznej gospodarki lokalowej oraz stworzeniem takich instytucji, które by nie gorzej od prywatnych właścicieli, a lepiej, dbały o całość budynków mieszkalnych i interesy lokatorów. Istnieje taka możliwość.

Korzystne ku temu warunki stwarza nowa polityka mieszkaniowa, która zmierza do odciążenia państwa od ogromu spraw związanych z administracją domów i równocześnie — zainteresowania lokatorów domami, w których żyją. Czy to założenie jest słuszne? Niewątpliwie. Obowiązuje ono w wielu krajach, gdzie państwo lub jego instytucje występują w charakterze inwestorów lub właścicieli domów.

Kto więc powinien być gospodarzem domu? Wydaje się, że z urzędu — administrator, a z ramienia lokatorów — komitet domowy. Byłaby to swego rodzaju decentralizacja dotychczasowej publicznej gospodarki lokalowej. Administrator może pobierać czynsz, ale wspólnie z komitetem domowym będzie ustalał co, gdzie, jak, w jakim terminie należy remontować czy konserwować. Do jego dyspozycji należałoby brygady remontowe i materiał budowlany, zaś społeczną kontrolę nad wydatkowanymi kwotami i jakością robót objąłby komitet domowy. W ten sposób wyeliminowanoby biurokratyczną miarę i hierarchiczny aparat urzędniczy.

Przejęcie na tego rodzaju rozrachunek gospodarczy między państwem, jako właścicielem domów, a lokatorami stworzyłoby ekonomiczne przesłanki naturalnego zainteresowania mieszkańców swoim domem, kosztami jego eksploatacji, remontu i amortyzacji. Ludzie zaczęliby szanować własne mieszkania i dbać o własny dach nad głową.

NA-WZASACH

czytaj



DORECZENIE NASZEGO TYGODNIKA DO MIEJSCA POBYTU WAKACYJNEGO ZAPEWNIŁ SOBIE WPLACAJĄC KWOTE PRENUMERATY NA KTO PUPIK „RUCH” PKO-ŁÓDŹ-7-6-57 I ZAZNACZYNIEM »ODGŁOSY«

Należało przede wszystkim sprawdzić czy wyrok został wykonany. Odpowiedź nadeszła już po kilku dniach. Wyrok śmierci nie został wykonany. Oskarżonego ulaskawiono, następnie dzięki amnestii obniżono mu karę do 15 lat więzienia, z którego wyszedł warunkowo w roku 1956.

Siekiera

Ale czy to możliwe, aby człowiek na którym ciąży wyrok śmierci, której ledwo uniknął, już kilka miesięcy potem poszedł znowu z „pistoletem po prośbie”? Czy to nie jest ogromnym ryzykiem kierowanie śledztwa w tę stronę? Jeśli krok okaże się fałszywy, śledztwo zostanie znacznie opóźnione. Czy w grze, gdzie stawka jest, być może, niejedno ludzkie życie można sobie na to pozwolić? Szansa jedna na tysiąc. Tyle tylko, że tamten, który siedział już w celi śmierci, również całował kobiety w rękę. Lecz czy można pozwolić sobie na zlekceważenie tej poszlaki? A jeśli wiedzie ona w dobrym kierunku?

Eksperci, którzy przeprowadzali analizę techniki działania bandy „Siekiera” i bandy „Przystojnego bruneta” stwierdzili wiele podobieństw, ale i wiele zasadniczych różnic.

Na zebraniu grupy kapitana Biela dyskusja trwała do późna w nocy. Zdecydowano w końcu sporządzić pierwszą listę podejrzanych. Wciągnięci na nią zostali przebywający na wolności byli członkowie bandy „Siekiera”.

Teraz wielka gra przenosi się z gmachu MO na ulice Krakowa. Oficerowie z grupy kpt Biela wędrują różnymi ulicami Krakowa, Nowej Huty, stukają do różnych mieszkań akurat wtedy, gdy nikogo w domu nie ma. Sąsiedzi chętnie informują, o której właściwie mieszkaniu zazwyczaj wraca. W rozmowach z sąsiadami można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Mężczyźni, którzy pukają do mieszkań podczas nieobecności właścicieli, są szczególnie ciekawi, skorzy do długich rozmów z gospodyniami domowymi, dozorcami. Ludzie lubią z nimi rozmawiać, posiadają bowiem rzadki w naszych czasach dar uważnego słuchania...

Schemat kontaktów

Potem, już wieczorem, zmęczeni, zakurzeni oficerowie zjeżdżają do gmachu MO. Na wieczornym zebraniu dzielą się zdobytymi informacjami. Wykreślają „schemat kontaktów”. Lista objętych śledztwem rozszerza się o ludzi, z którymi podejrzani utrzymują ścisłe kontakty. Na „schemacie kontaktów” od czasu do czasu przybiera nowy kwadracik, nowe nazwisko. Każdy kwadracik połączony jest z innymi skomplikowanymi, krzyżującymi się liniami, oznaczającymi kto z kim się spotyka, kto z kim utrzymuje bliższe stosunki. Na liście podejrzanych znajduje się już aż 28 osób. O każdym trzeba zebrać maksymalną ilość informacji. Trzeba ustalić jaki prowadzi tryb życia, ile zarabia, jakie ma dodatkowe źródła dochodu, czy pije wódkę, ile wydaje pieniędzy. Lista osiągnęła już punkt szczytowy. Czas teraz na proces odwrotny. Z listy powinny kolejno odpadać ludzie, których alibi zostanie stwierdzone. Wszystko to trzeba badać bardzo ostrożnie, z jak największą dyskrecją tak, aby żaden z podej-

rzanych nie mógł zorientować się, że znajduje się pod obserwacją. Ze zdobytych dotąd informacji wynika, że wielu podejrzanych prowadzi bardzo nieregulowany tryb życia, nigdzie nie pracuje wydaje sporo pieniędzy, utrzymuje kontakty z ludźmi o przestępczej przeszłości. Często można ich spotkać w knajpach, gdzie zbierają się krakowskie szumowiny. Ale to nie są żadne dowody. Oficerowie zdają sobie sprawę z tego, że jeśli bandytami są ludzie z bandy „Siekiera”, trzeba zebrać jak najwięcej niezbitych dowodów. Na to, że po aresztowaniu zechcą oni cokolwiek ujawnić, nie ma co liczyć. Są zbyt w swym fachu oblatani, a prawo dintojty jest chyba jedynym prawem, do którego ludzie ci odnoszą się z pełnym szacunkiem.

Byłem gościem na chrzcinach

U fotografa, u którego pan K. robił sobie zdjęcia zjawia się młody mężczyzna z prośbą o wykonanie ze znajdującej się u niego kliszy, odbitki zdjęcia pana K.

— Przyjaciół podarował mi swą fotografię, stąd wiem, że robił ją u pana. Niestety zgubiłem ją gdzieś. Przyjaciółowi byłoby przykro — rozumie pan.

Fotograf oczywiście rozumie.

Gdyby — mówi — chodziło panu o zdjęcie kobiety sam pan rozumie... nas obowiązuje zawodowa dyskrekcja, ale zdjęcie przyjaciela, oczywiście...

Pan M. był ojcem chrzestnym dziecka państwa S. U fotografa, który robił zdjęcia na chrzcie zjawia się jakiś pan z prośbą o wykonanie jeszcze kilku odbitek fotografii, zrobionych w czasie uroczystości.

— Byłem gościem na chrzcinach, ale zabrakło dla mnie odbitek — tłumaczy przybysz.

Po kilku dniach, gdy fotograf oddawał klientowi zdjęcia, zauważył:



— Bardzo pan się jakoś zmienił, nie mogłem pana na żadnym zdjęciu rozpoznać.

— Ubranie zmienia człowieka odpowiada klient — byłem wtedy inaczej ubrany.

Wkrótce kpt. Biel dysponuje już pełnym asortymentem fotografii wszystkich podejrzanych. W kolekcji są zdjęcia dowodowe, amatorskie, pocztówkowe. Z różnych okresów, w różnych ubiorach. W laboratorium MO wykonuje się po kilkadziesiąt odbitek każdego zdjęcia. Teraz zostają one naklejone wraz ze zdjęciami ludzi ze sprawą nie związanych na tekturowe plansze. Plansze ze zdjęciami rozesłane zostają do wszystkich miejscowości, w których w roku 1957 dokonano napadów rabunkowych. Zdjęcia zostają przedstawione ofiarom napadów. Może rozpoznają napastników. Zdjęcia „obcych” (nie mających nic ze sprawą wspólnego) są po to, aby nie sugerować tych, którzy mają rozpoznawać napastników. Zdjęcia te, to jak gdyby papierek lakmusowy, sprawdzający bystrość ludzi, którym zdjęcia zostaną do rozpoznania przedstawione.

Teraz następują dni oczekiwania czy któryś z podejrzanych zostanie rozpoznany? Oficerowie niecierpliwą się: kiedyż wreszcie nadejdą te odpowiedzi. Drogi jest każdy dzień. Każdy dzień może pociągnąć za sobą ofiary...

Przypadek pod barem „Podgórskim”

Następuje wypadek nieprzewidziany przez nikogo. Przypadek często pojawia się jako sojusznik lub jako przeciwnik milicji. Tym razem jednak...

Ulica Pstrowskiego to niewielka i raczej spokojna uliczka w Krakowie. W protokołach wydalenie to zostało odnotowane potem pod datą 13. I. godz. 9.40.

Pod barem „Podgórskim” stoi samotny mężczyzna. Idąca na-



Józef Manterys i jego broń



przeciw niego kobieta obrzuca go baczynym okiem. Przechodzi na drugą stronę ulicy. Przy kiosku z gazetami stoi milicjant.

Panie sierżancie — mówi zderwowana kobieta — tam stoi mężczyzna, który kilka miesięcy temu dokonał napadu na moje mieszkanie, niech pan go zatrzyma.

OPERACJA

„całują rączki”

Sierżant podchodzi do stojącego pod barem mężczyzny.

— Pan pozwoli ze mną do komisariatu.

Mężczyzna opiera się, próbuje tłumaczyć. Rusza jednak wraz z milicjantem. Z tyłu nadjeżdża tramwaj. Mężczyzna podrywa się na gło i jednym susem znika za tramwajem. Milicjant zostaje po drugiej stronie. Uciekający biegnie teraz bardzo szybko, skręca w ul. Smolki, na rogu wyjmując z kieszeni pistolet i w nadziei, że nikt nie zauważy, wyrzuca go do ogradu. Biegnie dalej, skręca w Krasickiego, potem w Długosza, tu zrzuca z siebie płaszcz, skręca z powrotem w Pstrowskiego, dalej Zamojskiego, ale to już wszystko, co może zrobić. Tu dosięga go pościg. Zatrzymanym okazuje się Józef Manterys. Wysoki, przystojny brunet.

„Stać ręce do góry”

Teraz zaczyna się dla grupy oficerów milicji okres gorączkowej pracy. Józef Manterys nie przynajmniej do żadnej winy. Ludzie, na których wysoki przystojny brunet dokonywał napadów rozpoznają w czasie konfrontacji Józefa Manterysa, mimo, iż w czasie jej trwania Manterys występuje zawsze w otoczeniu innych aresztowanych, którzy nie mają z nim nic wspólnego. Ofiary napadów Manterysa rozpoznają ze zdjęć jeszcze czterech jego kompanów. Podczas rewizji w mieszkaniu jednego z aresztowanych znaleziono książeczkę strzelecką, w której brak było kartki. Ekspertyza wykazała, że pozostawiona w mieszkaniu Handzlików kartka pochodzi właśnie z jego książeczki strzeleckiej. Równocześnie trwa sprawdzanie alibi aresztowanych. Wszystkie okazują się zmyślone i kłamliwe.

Kilkanaście lat temu Józef Manterys i Henryk Krawczyk prowadzili zbrodnia działalność, rozsiadali wokół siebie najróżniejsze mity pełne kłamliwego patosu. Jeszcze teraz w czasie śledztwa Henryk Krawczyk powiedział do oficera, prowadzącego dochodzenie „Ja bym tych przyjaciół ze Wschodu i Zachodu mordował i krew pił. Mordowałem ich i będę mordował. Polacy są sami dla siebie. Nam nikogo nie trzeba”.

Tym razem była to już tylko uwaga na marginesie. Teraz chodziło już tylko o pieniądze. Jeszcze jedna sprawa. Każdemu kto zapoznał się z historią Józefa Manterysa i Henryka Krawczyka musi narzucać się pytanie, które oficerowie milicjancji i znajomi zadawali mi wielokrotnie. Jak to się dzieje, że ludzie, skazani przez sądy za wielokrotne morderstwa na karę śmierci, wychodzą w końcu z więzienia po 9 latach po to, aby natychmiast przystąpić do urządzania starego procederu? Sądzę, że warto to mieć na uwadze w toczącej się dyskusji o autorzytacie prawa.

Nazajutrz po rewizji u rodziców Mleczi, nad ranem do mieszkania Zbigniewa R. w Nowej Hucie

ostrożnie przemyka się jakaś postać. Naprzeciw wychodzi dwóch mężczyzn.

— Stać! Ręce do góry! Nie ruszać się!

5 maja aresztowany zostaje ostatni z członków bandy „tajemniczego dzentelmena”.

Ludzie z wyrokami śmierci

Kim są członkowie bandy, a zwłaszcza szef? Są w tej bandzie dwie szczególnie interesujące postaci. Interesujące ze względu na swą przeszłość. Henryk Krawczyk ps. „Dąb” były członek bandy „Mściciela”, wchodzącej w skład bandy „Ognia”, mający na swym koncie kilkanaście morderstw funkcjonariuszy UB, MO, członków PPR. Za wyczyny te został w roku 1947 skazany trzykrotnie na karę śmierci. Ulaskawiony przez Radę Państwa odsiadywał dożywotnie więzienie. Dzięki amnestii i przedwczesnemu zwolnieniu wyszedł z więzienia w roku 1956. W kilka miesięcy potem stał się współorganizatorem bandy.

Podobnie wysoki, przystojny dzentelmen, Józef Manterys, były członek bandy „Siekiera”, która wchodziła w skład „Ognia”. Ten również ma na sumieniu wiele morderstw, między innymi furmana i pielęgniarzki w szpitalu św. Łazarza. Józef Manterys był również skazany w roku 1947 na karę śmierci i także skorzystał z prawa łaski. Dzięki amnestii i warunkowemu zwolnieniu opuścił więzienie w roku 1956. Jak głosi uzasadnienie decyzji — za dobre sprawowanie się.

Pozostali członkowie bandy, z jednym może wyjątkiem, to również męty społeczne, ludzie już uprzednio karani.

Kilkanaście lat temu Józef Manterys i Henryk Krawczyk prowadzili zbrodnia działalność, rozsiadali wokół siebie najróżniejsze mity pełne kłamliwego patosu. Jeszcze teraz w czasie śledztwa Henryk Krawczyk powiedział do oficera, prowadzącego dochodzenie „Ja bym tych przyjaciół ze Wschodu i Zachodu mordował i krew pił. Mordowałem ich i będę mordował. Polacy są sami dla siebie. Nam nikogo nie trzeba”.

Tym razem była to już tylko uwaga na marginesie. Teraz chodziło już tylko o pieniądze. Jeszcze jedna sprawa. Każdemu kto zapoznał się z historią Józefa Manterysa i Henryka Krawczyka musi narzucać się pytanie, które oficerowie milicjancji i znajomi zadawali mi wielokrotnie. Jak to się dzieje, że ludzie, skazani przez sądy za wielokrotne morderstwa na karę śmierci, wychodzą w końcu z więzienia po 9 latach po to, aby natychmiast przystąpić do urządzania starego procederu? Sądzę, że warto to mieć na uwadze w toczącej się dyskusji o autorzytacie prawa.

MAŁA CZARNA

Jest w życiu młodego człowieka chwila, gdy przychodzi pierwszy raz do kawiarni na „małą czarną”. Namawiają go koledzy, albo robi to z nudów sam. Jak to się czasem kończy?

Uważaj! Wchodzimy na teren dla obcych zamknięty. Coś w rodzaju łoża Masonskiej albo włoskiej mafii. Domyślcie się? Chodzi o tak zwane młodzieżowe kawiarnie. Pierwszym stopniem wtajemniczenia jest tu bar kawowy „Mariolka”. Spełnia on niejako rolę zaplecza dla ekskluzywnych „Lilany”, „Warszawianki”, czy „Egzotycznej”. Tu młodzi ludzie odbywają nowicjaty przed wstąpieniem do zakonu lokalowych kawalerów i panien. Jedni zostają,

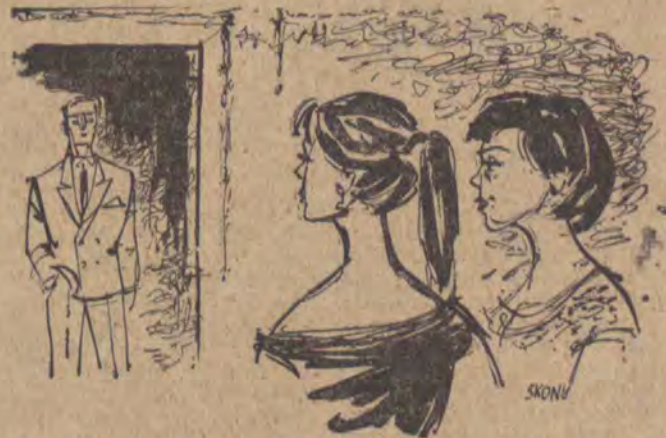
drudzy odchodzą zniechęceni, ale ruch nie słabnie. „Mariolka” nie jest jeszcze prawdziwą kawiarnią. Jest nią natomiast „Liliana”. Choć przeciętny wiek jej bywalców waha się w granicach 16—20 lat, przypomina raczej portową spekulację niż młodzieżową kawiarnię. Gość przypadkowy czuje się tu obco i niepokojnie. Przy złączonych stolikach bandy wyrostków, dziewczątek i prostytutek. Tu wszyscy się znają. Towarzystwo przy stolikach

nieustannie się zmienia. Wszyscy palą papierosa i piją więcej chyba wina i wódki niż kawy. W ciasnym korytarzyku przy toalecie wymiotują 16-letnie szczeniaki i całują się zakochane pary.

W „Lilianie” króluje panna Lola (?). Jest to brunetka o dość ordynarnej twarzy i gwałtownych ruchach. Posłuch jak ma tutaj ta kobieta jest zadziwiający. Ona wprowadza nowicjuszek w „życie”, ona ustanawia tu tejsze prawa. Panna Lola nie znosi sprzeciwu. Wylamujących się spod praw karcza na miejscu targaniem za włosy i przekleństwami. Wyjść do bramy, aby rozprawić się z chłopakiem to

dla panny Loli zwykła rzecz. Słyszałem kiedyś jak młodzieńcy wprowadzani w świat przez pannę Lole wzdychali ukradkiem: „Jezu, ale w towarzystwo myśmy wpadli”.

W „Lilianie” zdarzają się też innego rodzaju tragedie. Np. 17-letnia prostytutka podniecona alkoholem próbuje podciąć sobie żyły. Powód — miłość do chłopca, który zrażony jej postępowaniem odsuwa się od niej. I brzęczy tłuczone szkło, z rąk dziewczyny cieknie krew, koleżanki beczą, a wszystko pod czardasza, granego przez cygańską orkiestrę. Nigdzie więcej tego nie zobaczycie. Potrzebujecie „wypoży-



czyć” na noc dziewczynę — przyjdzie tutaj albo do „Warszawianki”. Jedne pójda z wami dla „idei”, inne za pieniądze. Chcicie kupić „Johimbinkę” dostaniecie ją tutaj. Milicja przeprowadza niekiedy rewizję w poszukiwaniu tego środka. Ale w „Lilianie” handluje się dyskretnie...
Od czasu do czasu w lo-

str. 4

str. 3 odpow

POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA” C z ę ś ć X

OSCAR LINDAY

Egzotyczna wysepka. — Zwycięstwo lub harakiri. — „Tokyo Express”. — Bitwa morska pod Guadalcanal. — Jeńców nie wzięto. —

— No i co pan o tym myśli, pułkowniku. Przecież całą wyspę zjeżdżali dziupami i oprócz mizernego oporu na lotnisku ani śladu Japończyków. A admirał Chormley kładł nam przez trzy godziny do głowy, że Guadalcanal jest węzłowym punktem strategicznym.

— Nie mam jeszcze własnego zdania w tej materii. Przyznam panu szczerze, generale, dopiero wczoraj dowiedziałem się, że taka wyspa w ogóle istnieje. U nas w Saint Luis jest knajpa „Guadalcanal”. Nazwa dość melodyjna. Kojarzyła mi się zawsze z jakąś cieśniną. Teraz trudno przestawić wyobrażenia.

— Zawsze to pierwsza, jak by nie było, zdobyta wyspa. I to z lotniskiem. Chłopcy nazwali je „Pole Hendersona”. Pewnie od tego majora Hendersona spod Midway. Było o tym dość głośno w prasie. A jak przebiega lądowanie?

— O. Key! Rozładowuje się już druga dywizja.

General Vandergift pochylał się nad mapą Archipelagu Salomona. — Jak tak dalej pójdzie, to ich szybko załatwimy. Oni nas jednak strasznie lekceważą. Aż się wierzyc nie chce!

— No to idź. Możesz się teraz przespać.

KREW WSIĄKA W GUADALCANAL



nie traktują tę całą wojnę! Teraz pan już wie, że Guadalcanal to nie woda, ale kawałek skały, którym bardzo żywotnie interesują się dwa pewne mocarstwa!

Pułkownik Lucken wtulił głowę w ramiona. Od 15 minut cała wyspa stała w ogniu. Nadchodzące falami samoloty siekły ją gradem bomb. Każdy się krył, gdzie popadło. Żadnych umocnień nie było na wyspie.

— Mają bokserki refleksy, trzeba im to przyznać. Jeszcześmy się nie zdążyli okopać, a oni już tu! A w Saint Luis, w tym „Guadalcanal” był dobry jazz!

— Chormley depešował, że dądzą jeszcze dwa bataliony. Mamy się tu umocnić i uruchomić Pole Hendersona. Flota będzie nas osłaniała od Flotidy. Grunt to zaopatrzenie.

— Chłopaki ryją ziemię, aż miło. Wilson, z drugiego batalionu, przysłał, czy nie mamy ekskawatorki! On jest z Tennessee, z „Wielkiej Energetyki”. Frajer! Nie miał jeszcze wszów i sraczkę. Nauczy się powoli, gdzie ekskawatorka, a gdzie łopata!

7 sierpnia Amerykanie lądowali na Guadalcanal. Już w nocy z 8 na 9 sierpnia po silnych nalotach i huraganowym ogniu artylerii okrętowej, Japończycy wysadzili desanty na plażach wyspy.

Równocześnie osłoniła flota amerykańska została zaskoczona w rejonie wyspy Savo i doszczętnie zniszczona. Poszły na dno cztery krążowniki i kilka niszczycieli. Cała ta bitwa trwała 23 minuty i była chyba najkrótszą w dziejach bitwy morskiej.

25-tysięczny garnizon gen. Vandergifta znalazł się w trudnej sytuacji. Jakkolwiek uruchomione lotnisko na Polu Hendersona mogło już przyjąć lekkie samoloty

bliskiego wsparcia, to jednak napór Japończyków na pozycje amerykańskie wzrastał z każdym dniem.

Zaopatrzenie japońskie funkcjonowało bez zarzutu. Stałą linię ich dostaw zapewniał „prom”, który dowcipni Amerykanie nazwali „Tokyo Express”. Składał się on z kilkunastu szybkich niszczycieli. Dzień i noc, bez przerwy, kursował z wyspy Bugainville na Guadalcanal, przewożąc drobnymi grupami formacje szturmowe. Trwało tak do 20 października. Wreszcie Japończycy uznali, że są już dość silni, aby ostatecznie wyrzucić Amerykanów z wyspy. Równocześnie dla zabezpieczenia tej strefy podjęli desantowy raj w kierunku Archipelagu Santa Cruz. Coś się jednak sztabowcom japońskim pomyliło w obliczeniach siły ich przeciwnika.

Czwarta już doba była spokojna. Dotąd, od połowy sierpnia, przez dwa bity miesiące, to oni próbowali wypchnąć Japończyków, to Japończycy ich. Wilson, z drugiego batalionu, wykopał sobie bunkry bez ekskawatorki. Chłopcy przywykli powoli do tropiku i pocisków. Teraz była cisza, General Vandergift nawet zażartował i kazał sobie przysłać karty do układania pasjansa. Aż u niego huk dział przypominał, że jest wojna. Wyspa była niewielka — 100 na 30 kilometrów. Wzmocniona kanonada artyleryjska dotarła równocześnie z obu przyczółków japońskich — na południu i zachodzie wyspy. Niebawem zaczęły napływać alarmujące meldunki.

— Dzielwaty batalion rozbity nad rzeką. Japci sforsowali przeprawę!

— Czołgi Japów przedarły się pod Aola!

— Czołwki pancerne ostrzeliwują Pole Hendersona!

Tropikalna dżungla pełna była huków dział, jęków umierających, na domiar złego deszcz rozmoczył pola startowe i przykuł samoloty do ziemi. Amerykanie cofali się na wszystkich odcinkach. Los wyspy zawisł na włosku.

Lotnisko leżało u stóp 2.300-metrowego masywu górskiego. Tu general Vandergift skoncentrował obronę. Walka była nierówna i mordercza. Poległa połowa korpusu. Wzorem „Batańskich Bekarów” zdeterminowani żołnierze,

którzy zdążyli już poznać i wszy i dezynferię, dziesiątkowani tropikalną febrą, wczepili się pazurami w ziemię Guadalcanalu i — wytrwali.

W międzyczasie flota admirała Halseya rozbiła 26 października ekspedycję japońską na Santa Cruz, zadając jej bardzo ciężkie straty. Umożliwiło to amerykańskiemu lotniskowcom wsparcie gen. Vandergifta i w konsekwencji przełamanie impasu na wyspie.

Admirał Halsey stukał miarowo ołówkiem w blat stołu. — Rozumiecie panowie, jeżeli definitywnie nie rozbijemy „Tokyo Expressu”, będziemy zdobywać Guadalcanal jeszcze przez dziesięć miesięcy i w końcu... oddamy go. W tej chwili „Tokyo Express” jest zdolny przewieźć dywizję piechoty przez dwa tygodnie. A my — trzy razy mniej. Chyba jasne? A więc, atakujemy zdecydowanie i szybko. Zanim dołączą pańskie siły — zwrócili się do admirała Kinkaida — admirał Callaghan zaatakuję 12 listopada „Tokyo Express” i zwiąże go w walce.

Odprawa była skończona. Pozostało jeszcze wykonanie jej śmiałych wniosków. Szyfrogramy przyniosły nowy rozkaz do rozproszonych na Morzu Koralowym eskadr US Navy.

12 listopada flota amerykańska wpłynęła na wody otaczające Guadalcanal. Zgodnie z planem pierwszy zaatakował kontradmirał Callaghan, trafiając niespodziewanie na znaczną koncentrację nieprzyjacielskich jednostek. W międzyczasie bowiem Japończycy zmienili taktykę dostaw. Uzyskawszy lokalną przewagę, wprowadzili na linię zaopatrzeniową transportowce, zwalniając okręty bojowe do akcji osłonowej i blokady wyspy.

Amerykanie ponieśli dotkliwe straty. Kontradmirał Callaghan zginął na pomoście swego krążownika. Znow los maleńkiej wyspy zdawał się być ostatecznie przesądzony. Gen Vandergift, mając już tylko 10 tysięcy ludzi, rozpaczyliwie bronił rejonu lotniska.

Odsiecz przysłała jednak następnego dnia. Znacznie silniejsze eskadry admirała Kinkaida z lotniskowcami i świeżo wprowadzonymi do walki pancernikami najnowszego typu, w trzydniowej bitwie złamały blokadę japońską i przecięły linię dostaw przeciwnika.

Ostateczny bilans tej bitwy morskiej był dla Amerykanów korzystny nie tylko strategicznie, ale i materialowo. Sami stracili 4 krążowniki i 7 niszczycieli. Japończycy natomiast 2 pancerniki, 4 krą-

żowniki, 6 niszczycieli i 11 transportowców, które zaskoczone na trasie poszły na dno wraz ze znajdującą się na nich piechotą morską.

Po trzymiesięcznej walce Guadalcanal był uratowany, ale jeszcze nie zdobyty.

— Słuchaj Peter, nie zrobimy twoim chłopcom wstydu. Możesz być spokojny. — General Patch mocno, serdecznie ścisnął dłoń Vandergiftowi. Nie potrzeba było oficjalnych słów. Znal się już dawno. Z kolegium.

5 grudnia żałobne resztki korpusu gen. Vandergifta odpłynęły na zasłużony wypoczynek. Luzowały je świeże siły — dwie dywizje piechoty, wzmocnione specjalnymi oddziałami artylerii i czołgów.

Teraz rozpoczęła się nowa, trzymiesięczna historia wyspy. Z kolei Japończycy pokazali w niej, że też umieją się bronić do ostatka. Pozbawieni wsparcia, przykryci „lotniczym parasolem” i ogniem najcięższej artylerii, zepchnięci na maleńki przylądek odparali bezustanne ataki amerykańskie. 9 lutego 1943 r. padł ostatni żołnierz cesarza na Guadalcanal. Jeńców nie wzięto...

Porównywanie wydarzeń jest przedsięwzięciem ryzykownym. Każda wojna ma swój punkt zwrotny, który częściej jest rezultatem długotrwałych morderczych zmagani, niż krótkiej, błyskotliwej operacji. Takimi zmaganiem i radykalnie zwrotnymi punktami minionej wojny były Stalingrad w Europie, El Alamein w Afryce i Guadalcanal na Pacyfiku. Pod Stalingradem walczyło z obu stron milion żołnierzy. Na Guadalcanal nigdy więcej niż 60 tysięcy. Pod Stalingradem padło 200.000 ludzi, to jest piąta część biorących udział w bitwie. Na Guadalcanal padło 30.000, to jest prawie tyle, ile walczyło równocześnie po obu stronach. Egzotyczna, mało komu znana, skalista wysepka Morza Koralowego przez sześć miesięcy była piekielną maszyną, przyjmującą z jednej strony żywych ludzi, a z drugiej zapelniającą japońską i amerykańską prasę tysiącami nekrologów.

Przez całe pół roku mala wysepka przykuwała uwagę sztabowców generalnych obu przeciwnych armii. Na wielkim froncie Dalekiego Wschodu, wielokrotnie przewyższającym swą długością fronty Europy i Afryki razem wzięte, efektywna walka rozgrywała się właściwie tylko na tej malej wysepce i jej przybrzeżnych wodach.

(d. c. n.)

Za tydzień:

ŻABIE SKOKI NA ARCHIPELAGU ŚMIERCI



MAŁA CZARNA

kalu urządzane są większe libacje, które kończą się w „Casanovie”, „Staromiejskiej” lub na posterunku MO. Wszystkiemu patronuje panna Lola, osoba niezwykle wpłykowa.

Przyćmiona sławą „Lilliany” egzystuje nieco dalej od ruchliwego centrum miasta kawiarnia „Marysińska”. Odwiedzana jest prawie wyłącznie przez młodzież. Można tu spotkać 14-letnią dziewczynkę zrobioną na klasycznego wampę obok niewiele starszego partnera. Oczywiście z nieodowną pozą na wielkie zepsucie. Lokal raczej nudny, dziesiąta woda po „Lillianie”.

odgłosy 4

Kawiarnia, ciekawsza może od „Lilliany”, choć nieco innego typu jest „Warszawianka”. Przesiaduje tu zarówno młodzież jak i starzy walców z pieniędzmi nie zawsze uczciwego pochodzenia i mnóstwem wolnego czasu. To już lokal z pewnymi pretensjami, dziewczątka i chłopcy ubrani przyzwyczajeni, prostytutki nie tak prymitywne. Do „Warszawianki” nie przychodzi Czynelnika z kobietą. Bo gdy na chwilę opuścisz stolik twoja partnerka otrzyma dyskretnie poślaną karteczkę z różnymi propozycjami. Nie można się temu dziwić, na kobiety patrzy się w „Warszawiance” z przyzwoitym okiem. Przechodzą one tutaj z rąk do rąk, aż do znużenia.

Również zamaskowana forma stręczycielstwa nie jest tu obca. Na przykład chłopiec wyszukuje w „Staromiejskiej” „Casanovie” czy „Grandce” gościa z większymi pieniędzmi, przychodzi z przyjaciółką i przedstawia ją jako siostrę. Bawią się razem, a gdy gość ma ochotę zabrać pannę na noc „braciszek” za zgodą i załatwienie sprawy z rodzinną bierze swoje kilkadziesiąt złotych. Tu urocze dziewczątka poznają czasem nawiązanych prowincjuszy, obiecują to i owo, opijają imprezę w którymś z nocnych lokali, i przy pomocy kolegów obierają „jeleni” z gołówek i wartościowych rzeczy. Typowi są dla „Warszawianki” starsi panowie „handlowcy”. U nich kupisz „sprzedasz „twarde”, „miękkie”, talon na to lub na owo, zagraniczne przerwa tywy i każdy atrakcyjny towar. Dyskretna zapewniona.

Innymi słowy „Warszawianka” to kawiarnia uni-

wersalna. Ile tu jeszcze interesów i jakiego rodzaju się załatwia, zwyktemu człowiekowi nie pomieści się w głowie. W każdym razie powodzenie ma lokal niebawem. Przed drzwiami tłok, w środku tłok. Przeważają modnie ubrani młodzieńcy i panny tzw. „rock’n’rollowe” (dawniejsze kociaki). Na stolikach mala „czarna”, pod stolikami wódka. Oczy błyszcą nieszadrowo. Nogi chodzą w rytm melodii z głośnika.

„Czasem czuję wstręt do tego wszystkiego — mówi pewien bywalec „Warszawianki” i „Lilliany”.

— Ale tak się przyzwyczailę, a zresztą co robić wieczorem jak nie wpaść na tą „małą czarną”?

LESZEK WITCZAK





Trzeba sprawdzić, czy Panna Mioda chora aby nie jest. Inaczej heroldowie nie wpuszczą za bramy.

Cuda organizacji i niezwykła uprzejmość

Już przed Głównem nad drogą wisł transparent: „Witamy gości na Dni Łowicza 14—24. VI. 1958 r.”. Przed zdążającą do Łowicza „Warszawą” uciekają na motorach dwie czerwone plamy: kobiece spencerki na siedzeniu z tyłu. A spróbuj się w Łowiczu pokazać — zaraz cię zapisa i następnym razem otrzymasz już ślicznie drukowane zaproszenie. Po to są księgi pamiątkowe i notes pana Mauricego Klimeckiego, chodzącej historii Łowicza. Nie wyjdiesz bez podarunku: dla propagandy dostaniesz i ażurowe, łowickie wycinanki, nie wyjdiesz bez wpiętej ci w kłapę marynarki łowickiej krałki, nawet papier maszynowy z wnetkami łowickich zabytków podarują ci uprzejmie. Gdy wychodzą stąd urzędowe pisma wiadomo odrazu: z Łowicza. A oto apel do obywateli miasta Łowicza: Niech goście doznają na każdym kroku waszej uczynności i uprzejmości. Nauczą się czegoś.

Rozważania ogólne

Kiedy rozpoczyna się uroczystość milenium, kiedy hukną po kraju przeróżne rocznice, myślę, że trudno będzie się w tym wszystkim rozpatrzeć. Tak jak nie wiadomo, czy rozpięte nad łowickimi uliczkami wstążki różnokolorowej bibułki należą do Dni Łowicza, czy Oktawy Bożego Ciała, podobnie samotny złoty wianuszek na drzewach łowickiej kolegiaty. Trudno się będzie rozpatrzeć, gdy zabawa i uroczystość rozleje się szeroko, gdy naprawdę obejmie ludność.

Trochę danych szczegółowych

Łowickie wesele, tak zwane przewożny. Na rynku, na podium tłum fotoreporterów zastania widom piękną pannę młodą w imponującym czepku weselnym.

— Panie, nasuń się pan, my też chcemy zobaczyć.

— Zobaczysz pan w gazecie! Bo to nie byle co: i hejnał, łowickie wesele, siedem wystaw, pokazy kapel i zespołów łowickich na Błoni, zaproszeni górale z Bukowiny Tatrzańskiej, gadki Kaźmierczaka z Łowicza i ludowa zabawa, a także ślicznie odnowione (za własne pieniądze) kamieniczki na rynku. Występom na Błoni przyglądało się około 20 tys. osób. w Łowickim Muzeum aż skrzy się od wycinanek, pająków i paw. W

Powiatowym Domu Kultury ekspozowana jest grafika T. Rutkowskiego „Łowicz w grafice”. Autor, łowiczanie, wystawia około setki prac. Obok typowych widoków łowickich współżyją w zgodzie nowoczesne szkice takie jak „Suszenie rąk” czy „Zdrój”. Nikt nie wzrusza ramionami, czasem tylko łowiczanka w pasiaku podniesie ręce do głowy „Oj, jakie inne!”. Mniej udana jest wystawa rolnicza, za to rzemieślnicy są jak zwykle uprzejmi. Dyżurująca na wystawie Cechu Rzemiosł Różnych pani Karwat uprzejmie zaprasza: „Proszę, proszę państwo pozwolić”. Byli i braki. Organizatorzy nie spodziewali się tylu gości. Przyjechali Rosjanie, Holendrzy. Była kiełbasa, nie było bułek. Ale to drobiazgi.

Wiedziałem, jak zółkli z zazdrości goście z Brzezina, Rawy, Wieruszowa. „Zaprosimy was w przyszłym roku na 450-lecie Brzezina” — rzekł łowiczanie wiceprzewodniczący tamtejszej Rady Narodowej. Dni Łowicza nie odbywają się jednak z okazji żadnej rocznicy. Wchodzi tu do tradycji. Po raz pierwszy odbył się w roku ubiegłym. Nie były też po to, żeby wydebić od państwa jakieś kredyty. To Augustów podobno wyduł swoje kilkusetletnie, aby w ten sposób dostać kredyty na rozwój turystyki, i dostał. Łowicz nie dostał.

Organizatorzy

Oto oni — pod wieczór pierwszego dnia Dni Łowicza bardzo zmęczeni i podekscytowani. „Udało się”. *Spiritus movens* łowickiego ruchu to przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, Henryk Przybyłowicz. Pochodzi z Piotrkowa, był przedtem w Pablińcach, w Łowiczu jest już trzecią kadencję i żył z nim. Waleria Gładkówna przewodnicząca Prezydium MRN, I-szy sekretarz KP PZPR — Józef Wroniecki, historia Łowicza — pan radca Maurice Klimecki, Józef Biesak — wiceprzewodniczący PRN, Zygmunt Smitkowski — kierownik Wydziału Kultury. W Nieborowie działa znany pan docent dr Jan Wegner, a na pewno trzeba pominąć wielu innych.

Kończy się dzień. Spia prałaci w kolegiacie, śpi prymas Uchański z XVI wieku, który myślał o stworzeniu w Polsce kościoła narodowego. Kończy się pierwszy dzień Dni Łowicza. Jak dawniej — łowickie wesele trwa po gospodarstwu dni kilkoro. A pierwszy dzień po ślubie, nazywa się tu pokładziny.



Rzemiosło jest zawsze uprzejme — Proszę, proszę — zaprasza pani Karwat na wystawie Cechu Rzemiosł Różnych.

Co będzie dalej?

Mówi pan Przybyłowicz:

— Pisma regionalnego nie ma. My jesteśmy organizatorzy, lecz w piórach jesteśmy słabi (można odetchnąć: nie ma w Łowiczu 2—3 podpór miejscowej inteligencji, kwaszących się li tylko z okazji budowy papierowego pomnika lokalnego patriotyzmu). Lecz nie ma bodajże drugiego tak wdzięcznego w pracy terenie. Nasz rolnik jest kulturalny, można do niego przemówić, poprzez inicjatywę intensyfikacji rolnictwa i warzywnictwa, i warto pokusić się także o zachowanie piękna tego regionu. Chcemy naprawdę na milenium skończyć z analfabetyzmem w Łowiczu, chcemy (tylko boje się o to, że nam drzewek nie dadzą, ale mniejsza z tym), żeby każdy rolnik zasadził po 20 drzewek owocowych, chcemy zakończyć w 100 proc. elektryfikację powiatu. 90 proc. zelektryfikowaliśmy, pozostało najtrudniejszych 10 — porożucane osady i wsie. Właściwie brak nam rąk do pracy: w ceglarniach i na kolejkach.

Liczymy na własne siły. Mamy tylko jedno skromne życzenie, żeby władza nie przeprowadzała „korekt” wypracowanych przez nas nadwyżek. Chcielibyśmy postawić w Łowiczu jakiś pomnik, zorganizować wystawę o Wwosłańskim, odrestaurować w tym roku rynek z wyjątkiem trzech zburzonych budynków, które postawimy w ciągu trzech lat, sprawimy rnkowi nowe elewacje. Wybudowaliśmy już 56 domków jednorodzinnych w Łowiczu, i jeden duży blok spółdzielni mieszkaniowej „Lokator”.

Chcielibyśmy też zrobić uniwersytet. Nad kierunkiem jeszcze się nie zastanawialiśmy, ale gdyby dobrze poszło moglibyśmy w przyszłym roku zacząć. Uniwersytetu ludowe nie mają powodzenia. Poziom wykładów TWP jest do prawdy różny” (A słyszałem też, że w Skarżysku zamierzają zrobić Politechnikę — przekształcając tamtejszą wieczorową szkołę inżynierską na normalną wyższą uczelnię! Tak małe miasta usiłują wyjść wyżej, dotychczasowego poziomu).

Jest zmierzchn w łowickim Saskim Ogrodzie. Prezesa Przybyłowicza nawołują — opada podniecenie pierwszego dnia uroczystości. Myślę, że może nareszcie spotkałem w Polsce jedno miasto, w którym mógłbym pisać humoreski bez nienawiści.

Z gór i nizin. Gawędziarz łowicki Kaźmierczak i kierownik zespołu górali z Bukowiny Tatrzańskiej.



Choćby sto było, każda będzie łona, mówi wycinarka łowicka Jadwiga Klimkiewicz.

Tekst: JERZY TYNECKI
Zdjęcia: LEON OLEJNICZAK



Właściwie już po wszystkim.

leon gomolicki

To trochę wygląda tak, jak gdybym chciał spłatać figla, ujawniając moje wierze po latach milczenia. Ale nigdy nie potrafiłem napisać wiersza okolicznościowego i zawsze uważałem, że rymowanie nie służy dydaktyce. A przecież do niedawna trwał u nas okres okolicznościowo-dydaktyczny.

Gdybyście mnie zapytali, co stanowi główną cechę poezji współczesnej? — Odpowiedziałbym: refleksja liryczna. A oto kilka jej przykładów z tego, co pisałem i piszę.



europa

zapadły się w otchłań zaświaty
w proch się babilon obracał
lecz znów swe kamienne karki
wyszturzył w niebo uparty

i znów chórem prawd obalany
otworzy podwoje bałagan
z mgły auto wypadnie
w szycenie neonów

i wejście diana
do nawy gdzie śpi endymion
gdzie lubo nad czaszą nektaru
nucać wierszyk wieczysty

śledzić przez witraż
jak brat nasz Hłob
po Jalmużnę
wyciąga skorupę



wiatr

o wietrze
słyszysz twe kroki i zmagania
gdy szarpłąc okiennicę
strzelając z bicia chorągwi
nucisz skomląc rozpacz

wiatr
czyje kroki nie ustają pod ścianą
czyje ręce potrzęsają drzewami
wiatr
czyje kształty kłębią się mrokiem
czyje bębny tętnią sercem

o wściekły i potężny
jak hordy galopujące przez łąki
uderzające wyciem w płaszczyny powietrza
wstrząsające ziemią i chmurami

osaczony rzucany na łóżku
nasłuchujący szelest jej włosów
nasłuchujący majaczeń nocy
słyszysz szelest jej włosów
rozwiązanych w obłoki
słyszysz jak tryska krew
potokiem gwiazd i cyklonów

i krzyczę bezdźwięcznie
aby obudzić się
wypełnione po brzegi
prężną materią wiatru



wiek wojen

czy tak już było kiedyś
mgła nad tłumem
i głaz pierwotny i nagła
plomień
i noc wskrzeszony przez wybuch
wiek wojen potęgi i ruin
w przestworach wzburzonych

lódz wąża nie arka
świat powolny plorunom
opasany przez błyskawice
Hłó rzucany przez burzę
tak kształtowało się życie
ale nawet w tym świecie
zasłaniając oczy przeźroczyście dłoń
upadałem na kamień ogrzany i suchy
w chwilowy spokój biedny słoneczny.

sen

krótkowidła marzenia
ludzi zmysły śpiącego
a tu szkuje się zbrodnia
i osaczają go cienie
ale dziewczę snu
tańczy na łańc stworzenia
i w niebo zaświatów
stacza się kolo księżycy

patrzy biała pallada
z mroku muzeum na gwiazdy
a dusze zrucisz swe ciała
błądzą w ogrodzie niezwykłych
gdzie szeleszczą bezbarwne wiatry
gdzie pełzną czarne korzenie
i w zaroślach niebieskich mordercy
kończą w pośpiechu swe dzieła,

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

CZYSTA SZTUKA TEATRU

„Klasyzm to zapewne również skłonność do stania się człowiekiem cywilizowanym, a cywilizacja to znów wiedza o tym, że pewien stopień sztuczności towarzyszy naszym dokonaniom i że kto zabija sztuczność — zabija sztukę”.

Zabijaliśmy sztuczność przez wiele lat. Przekreśliśmy umowność i konwencję, bronąc lustro rzeczywistości i zapominając, że tam, gdzie kończy się konwencja, kończy się i sztuka. Scena nasza stała się lustrem rzeczywistości. W jej czterech ścianach zamieszkało życie. Niepełne oczywiście, zubożone, odbite. Więc jakże niby — życie, pół-życie. Na rzecz pół-życia z teatrów wygnany został teatr. Pół-życie nazwano realizmem, później — naturalizmem. Terminy te nic, rzecz jasna, nie znaczą i rzecz należałoby nazwać po imieniu: niby-artyści niby-życia łączy pogarda dla konwencji. Czyli: pogarda dla sztuki i zwierzęce umiłowanie życia. Skacząc głową w dół, myśleli: zanurzamy się w falach życia, i spadali w przepaści uczuć minionych, konwencji nie wybranych.

„Kto zabija sztuczność — zabija sztukę”. Zabijaliśmy sztukę. Aktorzy Piccolo Teatro wierzą w autonomiczną siłę sztuki. To zdanie brzmi banalnie, ja wiem. Jakież jednak zdania niebanalne zapisać można ku chwale teatru, którego artyści posiedli — tak, jak posiadać można słuch absolutny — absolutny gest i absolutną muzyczność głosu, absolutną sztukę aktorską. Oto teatr konwencji, teatr, w którym technika decyduje o wszystkim. Goldoni jest dla Włochów tylko pretekstem. Lecz jakże to znakomity pretekst! Czy można w ten sposób, w tym tempie, w tej konwencji zagrać jakiegokolwiek dramaturga? Może Mollera? Może Arystofanesa? Może kilka spośród komedii Szekspira? Może. Goldoni jest przykładem wysoce pouczającym. Oto walczący przed wiekami z martwymi normami teatru dramatopisarz konwencjonalizuje się, zastęga. Już nie jest lustrem. Odbicia nie wzruszają nas, postacie są marionetkami. I tak zaczyna się wspaniała zabawa. Teatr zaprasza nas, byśmy porzucili Królestwo Życia i mijając groźnych strażników Polityki i Moralności weszli w granice Państwa Czystej Sztuki. A tam zdarzenia rozgrywają się w błyskawicznym, oslepiającym tempie, rytym wypadków i rytym języka unoszą bohaterów i wszystko jest możliwe, wszystko prawdopodobne, podane logice artystycznej dzieła. Psychologia została

wygnana, pozostała umowa, gesty i reakcje najprostsze, a przecież jedyne i nieopowtarzalne. Potem opada kurtyna i granice Państwa Sztuki kurczą się, zmniejszają do wymiarów naszego serca.

Więc to nieprawda, że w Piccolo Teatro technika decyduje o wszystkim. Widzieliśmy wspaniałą technikę ruchu, ekrobatyczne umiejętności aktorów. Ale nie tylko tym obdarzyli nas włoscy artyści. Posiedli oni nienazwaną tajemnicę sztuki i zechcieli ją nam ofiarować. Ten wieczór, w czasie którego ujrzelśmy „Arlekinę, służącą dwóch panów”, przyniósł nam wzruszenia, jakich doznajemy, słuchając kilku fraz muzycznych lub kilku strof, stanowiących o kulturze narodu. Może dlatego przypomniały mi się podczas spektaklu strzępy wierszy Jana Andrzeja Morawczyńskiego, wielkiego obłudnika, jedyne konsekwentnego polskiego poety konwencji. Choćby ten fragment:



Marcello Moretti (Arlekin) — Franco Parenti (Brigliella)

Chcesz-li, abym się kochał
w tobie wiernie,
Przestań tych figłów, bo
choć niezmierznie
Kocham, jednak w bok na
tychże młast skoczę,
Jak zdradę zobaczę.

Do panny adresowane są
te słowa, nie do sztuki. Ta

nas nie zdradza. Wypędzona i zapomniana, wraca i przynosi radość. Piccolo Teatro della Città di Milano przyniósł nam wielką radość. Nie wiem, czy my, dyskutujący politykę i moralność i zwierzęco kochający życie, zasłużyliśmy na nią.

CZYSTA SZTUKA APOTEOZY



Scena „misterium Buffo”.

„Kto zabija sztuczność — zabija sztukę”. Włodzimierz Majakowski zabijał sztukę. Nie wierzył w jej tradycyjne funkcje, nienawidził piękności, żądał tendencji Wierzył w życie, i to w dzień przyszły raczej, niżli w dzień dzisiejszy. Był ascetą rewolucji. Wymagał, by sztuka podjęła nowe, obce jej funkcje, by stała się panną do wszystkiego, wkraczając w życie i służąc mu. Rozszarpaną strofą przygwałdział Majakowski białogwardyjską kanalię i reklamował wyroby przemysłu socjalistycznego. Podobnie Józef Czechowicz pisał reklamy dla wytwórni czekolady. Cóż, kiedy dziełki zwiększenia spożycia czekolady nie następowały widoczne zmiany w strukturze społecznej! Majakowski wierzył, że zmiany takie nastąpią. Dlatego umartwiał swą sztukę poetycką, dyscyplinował ją, strzelał do niej z nagana, odrzucał wszystko, co służyć nie mogło agitacji. Chciał przybliżyć ku nam nowy, wspaniały świat. Przybliżył wizję.

Zbyt już oschłym i czystym ujrzał i przedstawił Majakowski świat przyszłości. Zbyt nieludzkimi widział ludzi tego świata, zbyt doskonałym i jałowym wydał mu się musiało ich życie. Nie, nie należy przypuszczać, że Włodzimierz Majakowski chciał żyć tak, jak żyć mieli — według niego przynajmniej — nasi późni wnukowie. Mimo to, pozostawił wizję i zalecenie. Mówiąc inaczej, pozostawił agitkę. Dobrze zasłużył się rewolucji, ponieważ nie jest to agitka płaska i niesmaczna. Garścący tradycją Majakowski usiłował stworzyć teatr nowoczesny. Nie wiedział, że nie można teatru takiego stworzyć, nie licząc na tradycję. I nie wiedział, że teatr nowoczesny, nie znosi krzyku, czyli agitki. Dlatego nie pozostawił tradycji.

Pisał w roku 1929: — „Sztuki — to nie arcydzieła artystyczne. Sztuka — to oręż w naszej walce. Trzeba go często ostrzyć i czyścić w dużych kolektywach”. I oręż jest czyszczony i ostrzony. Widzieliśmy, jak

duży kolektyw Kazimierza Dejmka oczyścił niegdyś ostrze „Łaźni”. A teraz kolektyw Moskiewskiego Teatru Satyry pokazał nam oczyszczone na nowo „Misterium - Buffo” i „Pluskwę”. Satyrycy radzieccy agitują za Oczyszczony przez nich Majakowski nie jest już poetą wsławkowej satyry. Jest poetą apoteozy i interwencji. W spektaklach naszych gości dłoń interwencji dotykała stylu życia, wskazywała na „przeżytki” drobnomieszczanstwa w obyczajach i w sentymentach Apoteoza dotyczyła drogi przebytej i osiągniętego celu.

Druga część „Pluskwę”, ukazująca nam ludzi dnia jutrzejszego, rozegrana była w przedstawieniu Teatru Satyry w dekoracjach, przedstawiających architekturę Wzgórz Leninowskich. Wokół makiety ziemi w „Misterium-Buffo” wlewał model sputnika. Przed grupką robotników otwierał się w finale widok białych miast szczęśliwej, wojennej pracy. Poeta dnia dzisiejszego, Włodzimierz Majakowski, aprobuje i znów reklamuje. Tym razem już nie wyroby przemysłu, lecz zastany świat. I to jest zrozumiałe.

Moskiewski Teatr Satyry, moim zdaniem — wbrew naszym przewidywaniom — nie obfituje w świetnych aktorów. Pokazał natomiast, że dysponuje jasną koncepcją. Jego reżyserzy wiedzą, jak należy wystawić dzisiaj Majakowskiego. To dużo. Wiedzy reżysera podporządkowane były wszystkie elementy spektakli: tekst, scenografia i sztuka aktorów. I tylko jeden może W. Lepko w „Pluskwie” przekraczał granice, zakreślone przez inscenizatorów. Zbyt już dużej klasy to aktor, by mógł podać się jakiegokolwiek koncepcji, by agitował za lub przeciw. Lepko grał Prisyppkina, biedną pluskwę ludzką, ciśniętą pomiędzy bohaterów nowego, wspaniałego świata. Miał kilka znakomitych scen. Ja się nie dziwię, grał przecież jednego z nas.

JAROSŁAW
M. RYMKIEWICZ

NIEZWYKŁA POWIEŚĆ

Gdyby Raymond Radquet, który napisał mając 17 lat powieść „Opętanie” dożył — powiedzmy — trzydziestki, czekałoby go, jak sądzę, dwie ewentualności: albo stałby się w tym czasie powszechnie uznanym geniuszem, albo też — jego talent, strzelający olśniewającym plomieniem, przysiadłby na pierwszych utworach, sprowadzając pisarza na poziom przeciętności. Bo z „eudownymi dziećmi” niemal zawsze bywa właśnie tak, jak w tym drugim wypadku. Na jednego Mozarta trzeba czekać stulecia.

Ale Radquet nie dożył trzydziestki umarł mając zaledwie 20 lat, jak by dla poparcia twierdzenia, że „utubienicy bogów umierają młodo”. Przez „Opętanie” pozostał po sobie jeszcze jedna powieść i trochę pozycji — i w historii nowej literatury francuskiej zakwalifikowano go jako fenomen, jako zjawisko, które w małym tylko stopniu zdolało ujawnić — podczas swego trwania — istotę i zasięg utajonych w nim możliwości.

„Opętanie” nie jest bynajmniej literacką nowalijką. Radquet napisał je ok. r. 1920; u nas poznano tylko filmową wersję tej powieści („Diabeł wcielony”). Powieść Radqueta można by określić jako „romans młodociany”. On ma lat 16, ona — 19. Sytuację komplikuje fakt, że partnerka jest mężatka; wprawdzie mąż, który walczy na froncie (rzecz się dzieje w czasie pierwszej wojny światowej) zjawia się tylko na krótkie urlopy, ale przecież istnieje i tego istnienia ignorować nie można. Mimo niezwyklej młodzieńczości kołanków, romans blednie torem, właściwym ludzom najzupełniej dorosłym, przynosi normalne konsekwencje i kończy się śmiercią Marty na skutek przedczesnego porodu. A chłopiec? Na wieść o śmierci ukochanej „skamieniał” z rozpaczy, ale — mając 16 lat — na pewno szybko się z niej otrząsnie i będzie żył, jak rówieśnicy, bogatszy od nich o jedną romantyczną przygodę.

„Opętanie” należy do kategorii powieści „psychologicznych”. Główny nacisk jest tu położony nie na perypetie fabularne, lecz na psychiczne i uczuciowe doznania bohaterów. Jest w tej powieści sporo tego, co zwykliśmy nazywać „rozszczepianiem włosa na czworo”. Ale że ta czynność odbywa się z zdumiewającą (jak na 17-letniego autora) znajomością rzeczy i w sposób pełen swoistego wdzięku, nie nudzi, lecz przeciwnie — staje się dla człowieka atrakcją.

A jakże wywód z tej tragicznej historii mitosnej, przeanalizowanej tak skrupulatnie na stu kilkudziesięciu stronach powieści? Jeśli było tu opętanie, to chyba tylko ze strony tej dalekiej młotki. Bo co się tyczy chłopca — zresztą bardzo inteligentnego i ponad wiek zmysłowo rozbudzonego — powodował nim przede wszystkim miłość lub więcej nieswiadomy egoizm oraz infantylna duma, że oto — skoro posiadał kochankę, stał się już „prawdziwym” mężczyzną. Godny uwagi jest końcowy akcent powieści, który ma być podwójną pociechą dla zbolatego młodzieńca. Dowiaduje się przypadkiem, że Maria umarła z jego imieniem na ustach (co syci romantyczną próżność), że mąż Marty poprzysiął poświęcić swoje życie dziecku, o którym nie wie, że nie jest ono jego dzieckiem (co zwalnia prawdziwego sprawcę od kłopotów ojcostwa).

Radquet zastrzegł się zawsze solennie, że w „Opętaniu” nie ma żadnych momentów autobiograficznych, że wszystko tu jest zmyśleniem i fikcją. Mając wciąż w pamięci wiek autora i odrzucając wiary w cuda, niepodobna wprost przypuścić, że cały ten „opętany” romans 17-letni chłopiec wyjął sobie z głowy lub też wysłał z palca. Coś tam jednak być musiało...

Powieść Radqueta jest lekturą nieprzeciętnie interesującą, a zarazem możebną ją uważać za osobliwy i niecodzienny przyczynek do psychologii twórczości. Amatorów drastycznych wyjątków (używam tu omówienia zamiast właściwego słowa) muszę jednak ostrzec, że — mimo wysokiej temperatury uczuciowej „Opętania” — tekst tej powieści nacechowany jest umiarem i dyskusją w stopniu dostatecznym, by uniknąć tanich, a wulgarnych „efektów”. Wspominam o tym właśnie dlatego, że w beletryście zachodniej, tak obfite dziś u nas tłumaczonej, nie zawsze spotykamy się z tą chwalebna powściągliwością.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

KSIĄŻKI

Z dziejów obyczajów polskich

„Pogrzebom wielkopolskim towarzyszyły odpowiednie ceremonie... Na pogrzebach hetmanów i służącej w wojsku szlachty odbywało się tak zwane kruszenie kopii. Polegało ono na tym, że do kościoła wpadał rycerz w pełnej zbroi i przed katafalkiem kruszył kopię, a następnie walił się na posadzkę z srogim i ogromnym trzaskiem. Ten konny wjazd do zatłoczonego kościoła powodował nie lada zamieszanie, jeźdźcy wpadał w największym pędzie, bywało więc, że koń spłoszył się i runął na zebranie, albo pijany z reguły jeździec przewrócił się nim skruszył kopię... Lubowano się w tym widowisku i dla większego efektu wykładano posadzkę tartarcami, żeby wpadający jeździec czynił jeszcze większy łoskot”.

„Po pogrzebach odbywały się obowiązkowe stypy... Na takim bankiecie najpierw wspomniano nieboszczyka, lecz gdy się rozochociono, gdy zadymły łysiny, to pito na umór, następowało osławione „lej-rozej”, rozbrzmiewały śmiechy i po-

grzebowa stypa przemieniała się w hulaszczy bankietek... Wybuchły bójki, w których nie brakowało pokrawionych, a i niekiedy nawet zabitych. Starowolski powiada: „Widziałem wiele razy pogrzeby krwią oblane, z których zaraz po obiedzie wysyłano drugiego zabitego do nieba, aby oznajmił, co za ludzie na stypie byli”.

Oto dwa wybrane fragmenty z interesującej książki Zbigniewa Kuchowicza pt. „Z dziejów obyczajów polskich”, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Książka ta jest cenną pozycją szczególnie dla tych wszystkich, których interesują dzieje obyczajów polskich z XVII i pierwszej połowy XVIII wieku. Szczególnie interesujące są rozdziały pt. „Służba”, „Życie erotyczne” i „Wielkopolscy bandyci”, w których przedstawiono czytelnikowi doskonałą galerię typów poczynając od Stanisława Sta-

dnickiego zwanego powszechnie „Diabełem z Łańcuta” a kończąc na Mikołaju Potockim, zabijając, z którego ręki zginęło około 40 ludzi.

A oto jeszcze jeden ciekawy fragment z wyżej wymienionej książki dotyczący obrzędów związanych z weselami: „...Nie wszyscy byli tak dyskretni. Wśród chłopów i drobnej szlachty odprawiano nowożeńców do łożnicy i bez żenady sprawiano im tzw. „pokładziny”. Młodych rozbierano, kładziono do łożka, które niekiedy poświęcano, prawiono mody. Wielcy panowie złągodzili zwyczaj, miast brutalnych „pokładzin” wprowadzono „cukrową kolację”. Polegała ona na tym, że młodzi państwo urządzali w sypialni lub w pobliskich apartamentach przyjęcie, na które spraszano najdostojniejszych biesiadników. Przyjęcie to składało się z cukrów, win i wetów, stąd też nazwa cukrowej kolacji”.

dla naszego czytelnika

Nie chodzi oczywiście o język w znaczeniu dosłownym, lecz właśnie słownym. Nasza umiejętność postugowania się językiem czyli słowami jest coraz szersza. Stwierdzają to coraz częściej nie tylko nauczyciele w szkołach, ale zwykli czytelnicy książek i gazet, nie mówiąc już o słuchaczach odczytów i mów publicznych. Zwłaszcza fatalnie mówią, a i piszą, literaci, uczeni, publicyści i dziennikarze, a więc ci, którzy dla czytającej publiczności powinni być wzorem i przykładem. No właśnie są tym wzorem i przykładem ale a rebours czyli mówiąc rdzennie po polsku na odwrotność.

Jeśli publicyści stale mówią, że miał odczyt „na fabryce” albo „na zakładzie”, to nie dziwnego, że ludzie mu nie wierzą, a raczej wierzą kominiarzowi, bo ten, kiedy mówi, że był „na fabryce” albo „na zakładzie”, to rzeczywiście i dosłownie tam był. A sławny Marek Hłasko stale pisze o swoich bohaterach, że w stanie nietrzeźwym zabierali ich „na komisariat”. Tymczasem wiadomo, że owszem zabierają takich zabradziałozych w dechę gości, ale nie „na komisariat”, tylko do komisariatu i często w celu wytrzeźwienia do piwnicy czyli pod komisariat. I dobrze robią, co ja tu, proszę ja was, odważam się publicznie aprobować, a nawet i pochylać!

Wcale bym się także nie obraził, gdybym usłyszał że zabierają do komisariatu, a nawet wsadzają bez sądu do ciupy — za co? Za świadome lub płynące z niedbalstwa kaleczenie w mowie i zwłaszcza w piśmie naszego codziennego języka powszedniego. Znam pewnego dziennikarza, który stale „zdaje sprawozdanie”, zamiast „zdać sprawę” albo „składać sprawozdanie”. To jego „zdawanie sprawozdania” utrwalone druktem w gazecie czytają potem tysiączne rzesze czytelników i oczywiście naśladują go utrwalając w ten sposób w żywej mowie wadliwe i obrzydliwe wyrażenie. Kto jest, że tak powiem, rozsiewcą owego obrzydliwego wyrażenia? Oczywiście ten dziennikarz. Wcale bym się nie zgorszył, gdyby go za to zabrano „na komisariat”.

Znam także pewną literatkę, nawet poetkę-nowątorke, która chce reformować poezję polską, a nie nauczyła się jeszcze poprawnie władać językiem polskim. Stale mówi i pisze „umią” zamiast „umieją” i „lubieją” zamiast „lubią”. A przecież poezja to przede wszystkim subtelny stosunek do języka! Kto jest rozsiewcą w tym wypadku owego nonszalanckiego niechlujstwa językowego? Oczywiście

cie ta poetka. Wcale bym się nie dziwił gdyby ją za to zabrano „na komisariat”.

Znam pewnego publicystę, który stale mówi: „poszedłem z odczytem na zakład imieniem Róży Luksemburg”. Tysiące ludzi, słuchając go, powtarza za nim to fatalne, niepoliśkie zestawienie (nie „zestaw”) słów. Nie mówi się „poszedłem” lecz „poszedłem”, nie mówi się „na zakład” lecz „do zakładu”, nie mówi się „zakład imieniem Róży Luksemburg” lub kogokolwiek, lecz zakład imienia Róży Luksemburg, a „zestaw” może dotyczyć tylko wagonów, a nie ludzi. A więc czy ten publicysta powinien iść przesiedzieć się za to karzygodne zniekształcenie polszczyzny „na komisariat”?

MARIAN PIECHAŁ

Mój język świadczy o mnie

Zalste, że tak, że powinien! I siedzieć tam tak długo, aż nie nauczy się poprawnie mówić.

Przecież jest powojenny „Słownik polskich błędów językowych” mojego profesora z czasów przedwojennych, Stanisława Słoińskiego, rodzonnego brata poety Edwarda, ostrzegający przed tymi błędami, jest kilka tomów powojennych „Rozmów o języku” mojego drugiego profesora z czasów przedwojennych, Witolda Doroszewskiego, wyjaśniających dokładnie w sprawach języka to i owo, jest wreszcie powojenne wydanie „Słownika poprawnej polszczyzny” mojego trzeciego profesora z czasów przedwojennych, czcigodnego i zasłużonego dla kilku pokoleń Stanisława Szobera. Czemuż to ten ów dziennikarz, ta owa poetka i ten tam taki i owaki publicyści nie zająry do tych łatwych do nabycia publikacji i słowników. Przecież to jest ich, że tak powiem, niegrzeczność, psim obowiązkiem zawodowym. A skoro tego nie robią z wrodzonego im lenistwa, wbrew swemu elementarnemu obowiązkowi, to zasługują na karę, a więc lu z nimi „na komisariat”!

Nie za to, że oni osobiście tak mówią, bo to nie jest ważne — Bóg z nimi! — tylko, że przyczyniają się do rozpleniania i utrwalania

śledemdziesiątą i siedmiu grzechów głównych wobec ducha języka polskiego czyli poprawnej polszczyzny. Ze ten i ów Bogu ducha winien w swej pozezłości obywateli polski nie potrafi często ani jednego zdania skłócić bez błędu językowego wolażącego o pomstę do nieba — to właśnie oni są winni: ten dziennikarz i publicysta czyli „odczytowiec”, jak niektórzy mówią, no i ta poetka. Niech pomyślą o tym i niech zadrzą — o nich bowiem świadczy język ich! Oni bowiem przede wszystkim są odpowiedzialni za każdy gwałt, za każdą zbrodnię nad — jak by powiedział Stefan Żeromski: „mową naszą tyśiącletnią i na wieki wieków świętą”.

Właśnie Stefan Żeromski, ten najczulszy i najczujniejszy stróż i strażnik wspaniałego dziedzictwa tradycji narodowej, pierwszy przed laty wskazywał na niebezpieczeństwo zamięcenia i zamulenia czystego źródła mowy ojczystej, tego chleba naszego powszedniego, tej krwi naszej wspólnej i powszedniej, odżywiającej i utrzymującej przy życiu w dziejach naród nasz. Nie od dziś bowiem zaczęło grozić to niebezpieczeństwo. Widział je już Norwid, kiedy pisał:

„Trzeba było być duchem, [pokorą i pracą I siłą, i nicością—trudem, [nie lada co, Zeby ów polski język nie [optonął naraz, Lecz jak twierdza zupeł- [na, jak obronny taras Ruś, Litwe, Prusy objął, [zarówno w Siewierzu „Jak w Królewcu wy- [brzmiewał albo w Sando- [mierzu Gminny sielski, uczony [kmiący i królewski, Ten kasztelański Jana ję- [zyk czarnoleski, Język, który na sądzie po- [piólowi zawoła: „Uwity jestem z norwów [skrwawionych anioła I sądzę was od stopy [do włosa, bo jestem Wszystkich was razem du- [chem i moralnym chrzes- [temi”

Jak wynika z tego, grzech wobec języka ojczystego jest, zdaniem Norwida, grzechem wobec narodu. Język bowiem jest ostatnią forpocztą i ostatecznym argumentem obrony narodowej. Kto każy język ojczysty, ten stępla ostrze najskuteczniejszego oręża tej obrony. Jest więc przestępstwem stanu.

Pisarze, publicyści, mówcy — uwaga! Wasz język świadczy o was! I nie tylko świadczy o was, ale i sądził was jako obywateli i jako patriotów! I nie tylko sądzi, ale i skazuje w pamięci przyszłych pokoleń: na chwałę lub na hańbę!



ze st. 1

Rybak:

Dawno już słysząc o pstrągach w strumyku, ja oraz moja niewiasta, wzięliśmy wędkę, prowiant, rowery i zjechaliśmy tu z miasta... Pałimy ogień, maimy skronie, żona mi kopie robaki ja zaś zarzucam haczyk i żonę tłumacząc, co jedzą raki.

Rybakowa:

Nagle się trawa groźnie rozchyła, wpelza zbojeczka drużyna, herszt nóż za pasa krzywy wyciąga i mnie zaczyna przeklinać:



Rybak:

„Ty taka, smaka, oraz owaka, co robisz w lesie, mi powiedz? Otwórz ten termos, otwórz walizkę i ściągnij z pleców prochowiec!”

Rybakowa:

„Oddaj, co twoje — odzież, dobytek, wszystko co wasze, jest nasze!... Zaraz ci rękę toporem odrąbię i łeb bulawą rozkwasię!”



Rybak:

„Jam Czarny Matwiej, nie pragnę czyścić, raju, etchłani ni nieba!... Zabić człowieka to dla mnie tyle, co przetrząść bochenek chleba!”

Rybakowa:

„Ręce do góry! gdzie są talary? pulares gdzie?” — drugi mi powie a w jego dłoni świder i topór, i brudny ręcznik na głowie.



Rybak:

„Blagaj o życie ich kierownika!” żona już nie wie, co szepece a wtedy trzeci z krwawą maczugą termos mi cały podepce. Krzyczę: „O, panie szefie, Litości, w termosie przecież jagody... a wówczas czwarty z bielmem na oku wrzuca mi czapkę do wody.

Rybak i Rybakowa:

Zabrali wszystko: prowiant, rowery, nas zostawili w pyjachach i na dokładkę wędkę wspaniałe herszt nam okrutnie polamał.

Słowo wiążące:

W lesie bowiem grasuje zgraja zbojców. Poluje na barona Caruso-Hydrargir, wielkiego miłośnika kobiet, recenzenta muzycznego, óbszarnika i mistrza sztuki chirurgicznej w jednej osobie. Ale nie uprzedzamy wypadków.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Najostrzejsze OLÓWKI ŚWIATA

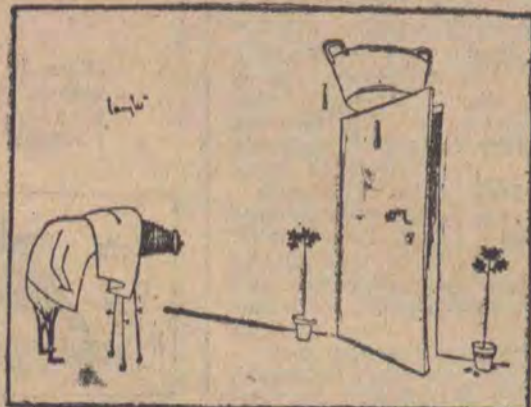
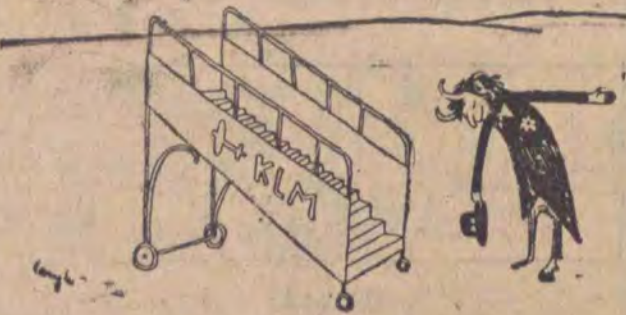
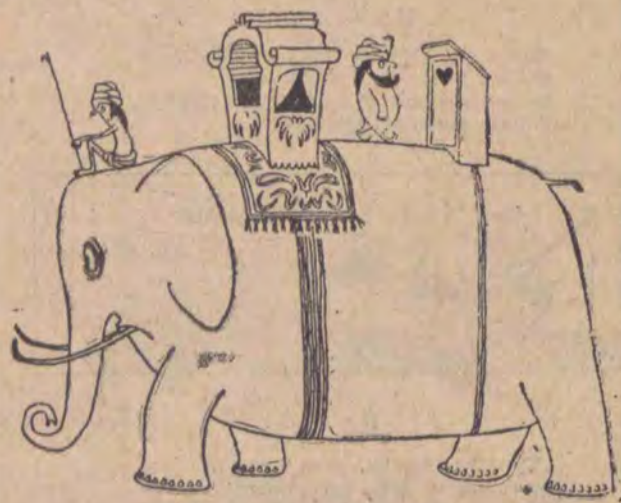
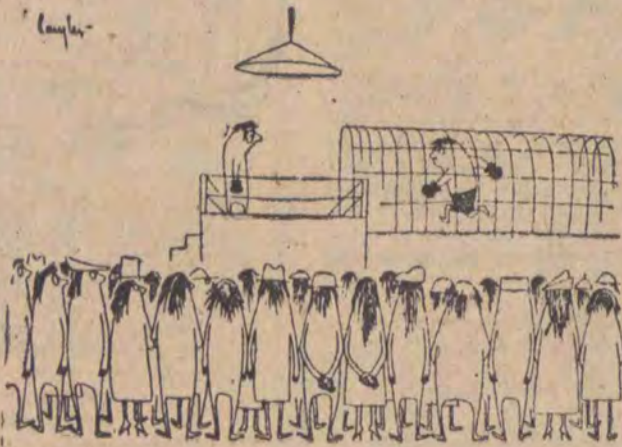
Przed paru laty opowiadał Marian Eile o kłopotach redaktora „Przekroju”. Zle widziano drukowanie żartów o dzieciach („dzieci — przyszłość narodu”) — i właściwie były trudności z zamieszczeniem każdego dowcipu rysunkowego, jeśli nie miał on charakteru satyry politycznej. „Śmiech zabroniony” — tak można też określić sytuację w „Szpilkach” czy „Świecie”.

Nie lepiej działo się w tygodnikach satyrycznych Węgier, Czechosłowacji czy Rumunii. Tylko w NRD redaktorzy dopuszczali do druku rysowników, uprawiających „czysty humor”. Tam też rozwinął się talent Canzlera, humorysty lepszego od bardzo wielu swych kolegów z NRF.

Günter Canzler należy do najmłodszego pokolenia nie-

GÜNTER CANZLER

albo
opowieści o przedmiotach



mieckich rysowników, debiutował w roku 1947. Macierzystą jego redakcją był „Frischer Wind”, przekształcony później w „Eulenspiegel”. Canzler drukuje w każdym numerze parę żartów, a nadto co tydzień jakąś historyjkę obrazkową.

Uprawia dowcip oparty na nonsensie. W każdym rysunku Canzlera znajdziemy postacie ludzi — ale rzeczywistymi bohaterami tych żartów są przedmioty. U niemieckiego humorysty obowiązują podobna zasada, jak u Anglika Leslie Starke'a (którego już przedstawiałem w „Odgłosach”): — „coś nie na swoim miejscu”. Śmieszny nas wychodek na grzbiecie słonia, czy schodki linii lotniczej — na Lysej Górze, albo znak drogowy na pustyni.

Canzler znalazł swój genre i konsekwentnie go uprawia. I choć buduje efekt komiczny zawsze na tej samej regule — nigdy nie nuży. Ten rodzaj dowcipu ma nieograniczone możliwości wynajdywania nowych pomysłów.

Rysunek ma prosty, bez ozdóbek, ani dodatkowych szczegółów — przypomina nieco rysunki naszego Kamyzka. Drukuje dużo — zawsze dowcipy bez podpisu, ale z pewnością starannie przesiewa swoje koncepty, bo rzadko trafia się słabszy żart, przez niego narysowany.

W ubiegłym roku Canzler nawiązał współpracę z magazynami NRF.

J. W.

ENTLICZKI-PETLICZKI-ENTLICZKI-PETLICZKI

LESZEK WITCZAK

Nie wszystko złe, co się świeci (Optymista)
„Żyjemy w wieku niebezpiecznym” (Kobiety trzydziestoletnie)
„Była to miłość platoniczna...” (Rozwiedziona idealistka)

„Nie tam się i tak cię złamią” (Chuligan)
Polska nierządem stoi (Stręczycielka)

Wobec nierzadkich wypadków wynajdywania w chlebie różnych ciężkich i twar-

dych przedmiotów, warto zanotować maksymę naszych piekarzy: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem”



JAN JANISZEWSKI

Gdy klasny masz portfel, gdy kieszeń ci pęka, ulży ci z życzeniem nadana piosenka (projekt reklamowy dla koncertu żywcem).
— Subiekt — zjawisko paradoksalne w słownictwie — de facto człowiek, który

robi sobie najmniej subiektywny.
— Zdaniem tygodnika „Motor”, taxi-girls to też zagadnienie z dziedziny motoryzacji.
— Do najmłodszych relikwii przeszłości należy

moździerz do cynamonu, wykałaczka i „dziękuję” pod adresem żony po zjedzeniu w jej towarzystwie obiadu.
— Nawet neon nie rozrzedza zagęszczenia kulturowego.

GOLONO STRZYŻON

Zakaz latania

Wszystkie towarzystwa filmowe w Hollywood wydały zakaz korzystania z samolotu osobom, biorącym udział w kręceniu jakiegokolwiek filmu. Sprawa ta przeniknęła do opinii publicznej dopiero z chwilą, kiedy agenci jednego z towarzystw filmowych w ostatnim momencie uniemożliwili aktorowi Coral Browne, który wraz z Rosalind Russel gra w filmie „Auntie Mame”, podróż samolotem do San Francisco. Przyczyna tego zakazu jest nader prozaiczna: chodzi o to, ażeby w wypadku katastrofy lotniczej, w której zginie aktor, nie musiano kręcić od nowa całego filmu, co, jak wiadomo, jest przedsięwzięciem nader kosztownym.

tament, w którym poprzednio mieszkał Adenauer.

Sport

W celu wzięcia udziału w międzynarodowych zawodach skoków żab przybył samolotem z Taipei do Los Angeles „Wun Long-hop”, żabi champion z Formozy.

Przywileje

Rada miejska w Polpaccio (Korsyka) przyznała znakomitemu śpiewakowi, Tino Rossiemu, który pochodzi z Korsyki, tytuł honorowego obywatela miasta. Jak ustalili dziennikarze, jedynym przywilejem, który wiąże się z tym wyróżnieniem, to prawo bezpłatnego korzystania w dzień i w nocy z miejskich szaletów.

Tylko za pieniądze

Sir John Barbirolli, znany dyrygent, oznajmił, że w przyszłości będzie rozdawał autografy jedynie za opłatą jednego szylinga od sztuki. Uzyskany w ten sposób dochód John Barbirolli zamierza przekazywać na fundusz pomocy dla muzyków.

Raz zgodni

Przedstawiciele wszystkich partii w Bundestagu, zarówno koalicji rządowej, jak i opozycji, wystąpili niedawno absolutnie zgodnie i solidarnie przeciw właścicielowi licencji na sprzedaż wszystkich potraw i napojów w restauracji parlamentu. Ow pan ściągnął na siebie gniew deputowanych lichą, wodnistą, czarną kawą. Deputowani zażądali zastalowania natychmiast automatu expresso, jednakże restaurator oświadczył, że nie ma bynajmniej zamiaru tego uczynić. Kwestia utknęła na razie na martwym punkcie.

Ordnung

Zarząd miasta Gorchheim zagroził lokatorom jednego z budynków wypowiedzeniem mieszkań, jeśli naruszą oni



następujące dodatkowe przepisy regulaminu domowego: „Od godz. 22 do godz. 6 rano nie wolno używać instalacji wodnej w klozecie oraz wodociągu. Na ten czas mieszkańcy lokalu przygotowują w ustępie, dla ewentualnego użycia, zapas wody w dzbankach, kubelkach itd.”

Spełnienie życzeń

Mrs. Lillias Hinshaw-Dulles, córka sekretarza departamentu stanu USA i matka czworga dzieci, ukończyła ostatnio studia teologiczne i zamierza, przynajmniej pół dnia codziennie, pracować dla kościoła prezbiteriańskiego. Spełniła ona w ten sposób najpiękniejsze marzenie Johna Fostera Dullesa, który, jak wiadomo, bardzo kiedyś pragnął zostać pastorem.

Truman we Francji

Były prezydent USA Truman, który udął się do Francji, poleciał zarezerwowany dla siebie i dla swojej małżonki w Vence, na południu kraju, ten sam apar-

Wykręty

Pewien kierowca w Düsseldorfie otrzymał wezwanie do stawienia się przed sądzią drogowym. Kiedy wezwany się nie zjawił, wysłana doń drugie zawiadomienie. Na pytanie, dlaczego nie przybył od razu, kierowca odparł, że w pierwszym wezwaniu było napisane: „Termin rozprawy 13 marca 1985”. Mimo twierdzenia sądu, że wezwany musiał zrozumieć, że jest to błąd maszynowy, zwolniono kierowcę od odpowiedzialności za nieprzybycie do sądu.

Kontrasty



Badania statystyczne w Nowym Jorku wykazały, że 85 procent węglarzy stanowią biali, natomiast 95 procent robotników w pralniach — Murzyni.

Bodźce

Na wystawie sklepu z meblami w mieście Keokuk (Colorado, USA) umieszczono plakat z następującym napisem: „Każdy nabywca kompletu sypialnego otrzyma gratis dzieła seksuologa Kinsey'a”.

Filantrop

Po śmierci listonosza Louisa Gagnaire'a w Annonay (Francja) dokonano w jego mieszkaniu niezwyklego odkrycia: jedna z walczek pełna była niedoreczonych nakazów podatkowych.

Demokratyzacja

Członkowie feudalnego Harvard-Club w Bostonie (Massachusetts, USA) przyjęli nieznaną większością głosów rezolucję, która ma zdemokratyzować reguły klubu. Stosownie do rezolucji słowo „służący” zastąpione zostanie słowem „funkcjonariusz”.

Protest

Pewna 24-letnia prostytutka wniosła skargę do sądu apelacyjnego w Allahabad (Indie) przeciw wydanemu niedawno przez rząd zakazowi prostytucji. W skardze mowa jest o tym, że zakaz prostytucji stanowi cios w konstytucyjnie zagwarantowaną „wolność wyboru zawodu”.

W obronie wolności

W „Syker Zeitung” (NRF) ukazało się następujące o-

głoszenie: „Obietnic, które czyni mój ojciec Johann Röpke, Thedinghausen 243, ażeby mnie ożenić, nie zamierzam nigdy dotrzymać, Heinrich Röpke, Thedinghausen 140”.

Święta służba



Nowowydany modlitewnik katolicki dla żołnierzy Bundeswehry nosi tytuł: „W świętej służbie”.

Nauka od dziecka

Londyńskie radio BBC w ten sposób zapowiedziało jedną ze swych audycji dla młodzieży szkolnej: „Rozpoczynamy naszą audycję brytyjskich piosenek dziecięcych melodii „Daj mi, stary, trochę tabaki”.

Obsługa

Pewna kobieta z Tucson (Arizona, USA) zamierzała zatelefonować do przyjaciółki, wykrcęła jednak zły numer. Po drugiej stronie drutu odezwał się mężczyzna, błagający o „pomoc w nieszczęściu”. Zaalarmowana natychmiast policja ustaliła, że wykrcęony omyłkowo numer należał do „Obsługi Modlitw Telefonicznych Kościoła Metodystów”, działającej na zasadzie zegarynki.

Dwa kościoły

Maurice Delzonne jest przewodniczącym frakcji socjalistów w parlamencie francuskim i przywódcą antyklerykalny w partii socjalistycznej. Kiedy wraz z Guy Molletem, sekretarzem partii, udał się do de Gaulle'a do Colombey-les-deux-Eglises, powiedział: „Deux eglises (dwa kościoły) to dla mnie zbyt wiele”.

Pozwolenie

Papież Pius XII udzielił kardynałowi Chicago specjalnego zezwolenia na błogosławienie wierznych lewą ręką, ponieważ prawą niedawno mu amputowano.

Sprawki Perona

Jak donoszą z Buenos Aires, rzecznik rządu argentyńskiego oświadczył, iż ogłoszona niedawno w tym kraju amnestia pozwala w zasadzie byłemu dyktatorowi Peronowi powrócić do ojczyzny. Jednakże nawet i wówczas musiałby on stanąć się przed sądem, aby odpowiadać za zgwałcenie nieletniej dziewczyny.

Ile żon?



Parlament indonezyjski ma wkrótce rozstrzygnąć, ile żon może posiadać obywatel tego kraju. Kwestia ta jest przedmiotem międzypartyjnych rozbieżności, albowiem partie muzułmańskie domagają się ustalenia maksymalnej granicy czterech żon, inne zaś — stoją na stanowisku monogamii.

aspazja

— 40 —



Siedzieliśmy w zupełnym milczeniu, zafascynowani tym obrazem. Dotąd widywaliśmy pszczoły martwe, te były żywe. To były te tajemnicze i genialne mieszkanki Marsa, które przypuszczalnie posiadały inteligencję wyższą od naszej. To były te pszczoły, które strzelały w nas dziś jeszcze piorunami o napięciu miliardów wolt.

Obraz ten był niezwykle dziwny, niespodziewany, wprost niesamowity, ale nie było w nim nic przykrego.

Muzyka ich, z początku niezrozumiała i cicha, nabrała wyrazu i barwy, zaczynała przenikać do głębi naszych serc. Nie można zresztą tego zjawiska nazwać muzyką w pełnym znaczeniu tego słowa. To nie przypominało w niczym znanej nam muzyki. Inny w tym był sens, inne prawidła, inne formy. Zdawało się, że nie ma określonego dźwięku czy melodii. To były jakieś szmery i brzęczenie, zgrzytanie, syczenie, jakieś pilowanie i drapanie, postukiwanie i dudnienie. Nie jest łatwo opisać muzykę marsyjską. Jedno można stwierdzić z całą pewnością — to nie był tylko hałas, nie było w tym nic nieobliczalnego i chaotycznego, przeciwnie, w tej muzyce panował zdecydowany ład, był w niej wewnętrzny rytm, była jakaś treść, jakaś logika; nasze matematyczne umysły odnajdywały w niej — matematykę.

Bezwolnie opadłem w fotel. Odżyły w mojej pamięci ciche, błogie, spokojne obrazy wspomnień: Teresa w różowej tunice i złotych sandałach, wiśniowy sad w kwiecie, łąki, kwiaty, złote owady nad kwiatami, lato, upał południa, lustrzana tafła wody, brzozy płaczące, których zielone listki kąpią się w toni... Nie chciało się nic. Spływał spokój i zapomnienie. Tylko jedno życzenie było w sercu — żeby wiecznie trwała ta chwila wielkiego spokoju.

— 41 —



Poczułem się bardzo zmęczony. Drżącą ręką sięgnąłem do kieszeni i zażyłem dwie pastylki witaminu. Był to znakomity środek, który dodawał siły, uspokajał i oddalał sen.

Rzuciłem okiem na moich towarzyszy — wszyscy głęboko spali.

A więc to była jeszcze jedna ich broń — czary! Za pośrednictwem swej radiostacji, która ten „program” nadała, doprowadziły do głębokiego uśpienia całą naszą załogę.

Puściłem z taśmy żywą i zdrową muzykę ziemską. Grał słynny bostoński zespół jazzowy. Sami Murzyni. Rozległy się czyste i mocne dźwięki kornetów, saksofonów i perkusji.

Towarzysze moi budzili się niechętnie — z westchnieniami, jękami, ociąganiem się i ziewaniem.

— Co to było? — pytali zdumieni. — Co się stało?

— Głupstwo, panowie — wyjaśniłem. — Nie zwracajcie na to uwagi. Sen krzepi.

Admirał oprzytomniał i zerwał się na równe nogi.

— To katastrofa! — ryknął chwytając się za głowę.

— One nas uśpiły i myślnie sobie usnęli jak stado baranów. Świetna historia! Przecież to oznacza nasz koniec. Chyba zawracamy... i jazda do domu?... Proszę, koledzy, coś zdecydować. Z czarami nie damy rady!

— Nie ma w tym żadnych czarów! — zaśmiał się doktor Freyd. — Takie zjawisko świetnie jest znane w medycynie. Nazywa się hipnoza zbiorowa. Sztuczny sen. W ten sposób leczymy chorych na owróżdzenie żołądka lub wariatów. Ja mechanizm tego zjawiska zbadałem. Znajdziemy jakieś antidotum. Sądzę, że już dwie pastylki witaminu wystarczą, aby nie zasnąć. Jakże sprytnie bestie. Właziły na naszą falę i na nasz ekran!

— 42 —



— A nas od Ziemi odcięli — dodałem.

Następnego dnia znowu uruchomiłem aparaturę i puściłem na antenę nasz sygnał wywoławczy. Na wszystkich twarzach widziałem wyraz skupienia i ciekawości.

Jakiś czas trwały trzaski i migotania, a w głębi ekranu chybotąły się podłużne, ceglaste smugi, przypominające wczesny świt. Były tam też jakieś żółto-złoto-srebrne pasma, coś jak by lecące złociste snopy zboża, roziskrzony dym, świetliste mgły.

Drżałem z niecierpliwości. Co też Marsjanie wymyślą nowego?

Po chwili wszystko ustało i tylko środkowa smuga żarzyła się ostrym, szkarlatnym światłem. Światło to rozparało się, to przygasło. Następnie ów żar przechodził przez wszystkie odcienie czerwieni, aż stał się głęboko karminowy, ciemny i płomienny, układający się w głębokie fałdy, o strukturze najcieplejszego aksamitu.

Z najwyższym zdumieniem zacząłem spostrzegać, że jest to przecież starogrecki strój kobiety. Tunika z narzuconą chlamidą — tylko, że chlamida ta była niezmiernie szeroka; podobna do togi. Była to moda z epoki Plzistrata lub Kleistenesa Alkmeonidy. Cóż to może być?

Wreszcie pojawił się widmowy zarys głowy i całej sylwetki ludzkiej. Pełen sprzecznych uczuć drżącą ręką dotknąłem skali i nacisnąłem guzik maksymalnej ostrości.

Niespodziewanie i w sposób zaiste cudowny wychyliła się ku nam, z całą plastycznością, trzech wymiarów, realna i wyrazista postać kobiety.

(d.c.n.)



Telewizja

A więc otwarto. Po niekończących się miesiącach oczekiwania, wielokrotnie przesuwanych terminach, po kilkakrotnym stwierdzeniu, że jeszcze „czegoś brakuje”. Wówczas, kiedy stracono nadzieję, a do stanu „wiecznej budowy” zaczęło się tak przyzwyczajając jak do legendarnej budowy pewnego teatru przy placu Dąbrowskiego, kiedy narzekania dosięgły szczytu — wówczas otwarto. Historyczny dzień nosi datę: 14 czerwca, 1958 roku.

Wypożyczenie techniczne: całkowicie nowa aparatura stacji nadawczej, miksernia z siedmioma monitorami kontrolnymi i dwoma magnetofonami, nowa aparatura „telekina”.

Studio: 250 metrów kwadratowych, pełne, nowoczesne wyposażenie, 3 nowe kamery francuskie, ruchome

pomosty oświetleniowe, specjalne locum speakerki.

Pomieszczenia pomocnicze: charakterystyczna, garderoby dla aktorów, salka prób, bar.

I wreszcie — szereg pięknych pokoi redakcyjnych i biurowych.

To są już doskonałe, zobowiązujące warunki pracy. Doczekaliśmy się wreszcie placówki, która ma wszelkie dane, aby stać się dumą 700 tysięcznego miasta, placówką, przed którą stoją szczególne zadania kulturalne. W związku z tym — garść życzeń.

Zyczymy technikom łódzkiej telewizji — aby w pełni, zawsze zdawali sobie sprawę z tego, że bez znakomitego funkcjonowania wszystkich urządzeń technicznych — nie ma telewizji.

Zyczymy pracownikom programowym — aby w najpełniejszy sposób wykorzystywali jeden z najgenialniejszych wynalazków naszych czasów, z pożytkiem dla państwa i jego obywateli. Proszę wybaczyć mimowolny patos. — Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że zawsze jeszcze „ktoś”, „gdzieś” u nas nie docenia wartości telewizji jako czynnika o ogromnej sile oddziaływania i możliwościach kształtowania opinii społecznej. A im

przedziej się to stanie, tym lepiej, gdyż konsekwencją zrozumienia wielkiej przydatności telewizji dla społeczeństwa musiałaby być jej szeroka popularyzacja, a więc większa podaż telewizorów, i... niższa cen. I to jest następne życzenie, jakie pozwalam sobie w imieniu zwolenników małego ekranu złożyć na ręce kompetentnych władz.

Jakimi premierami pragnie łódzka telewizja nawiązać do niedawno minionego okresu, w którym inscenizacje własne zajmowały naczelną miejsce w programie i choć realizowane w śmiesznie prymitywnych warunkach, przecież stały na przyzwoitym poziomie artystycznym?

A więc, na najbliższe tygodnie przygotowuje się: „Wierność mężczyźni” — w reżyserii Sylwestra Szyski, Maupassanta „Znak” — reż. Tadeusza Worontkiewicza, Franza Kafki „Kolonja karana” — reż. Kazimierza Oracza, oraz T. Kwiatkowskiego — „Wyspa siedmiu nieszczęść” w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego.

Dalsza przyszłość, mniej więcej od września br. to cztery godziny tygodniowo własnego programu „żywego”, 6 godzin tygodniowo programu filmowego, oraz 15 godzin audycji retransmitowanych z innych ośrodków. Naturalnie, pełny udział łódzkiej telewizji w realizowaniu programu ogólnopolskiego.

Redaktorowi Edwardowi Szustrowi — dyrektorowi telewizji w Łodzi, oraz wszystkim pracownikom ciekawej placówki artystycznej — wielu sukcesów życzą „Odgłosy”.

NASZA KRZYŻÓWKA

1	2	3		4	5	6	7
8					9		
			10	11			
12		13			14	15	
			16				
17							18
19	20	21			22	23	
			24				
25					26		
27							28

Znaczenie wyrazów

Poziomo — 1) Rodzaj mostku do przejścia, 4) Pochyła ściana wykopu lub nasypu ziemnego, 8) Część ręki, 9) Frymitywny budynek, 10) Rak móżdżkowych, 12) Linia biegu zawodników, 14) Przeszeregowanie do wyższej grupy płacy, 16) Wesół utwór sceniczny, 19) Gra w karty, 22) Zdrobniałe imię żeńskie, 24) Faza spotkania sportowego, 25) Orator, 26) Sprzęt strażacki, 27) Ssak morski, 28) Dźwięk brzmienie; dźwięk wydawany za pomocą organów mowy.

21) Piękno, 22) Entuzjazm, 23) Wyspa na Morzu Egejskim.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki nr 13.

Poziomo — Filumendata, Kapitan zdun Roch, bal, Omega, Erato, rak, oset, sito, kobieta, autoanaliza.

Pionowo — Frazeologia, ulan, Eliza, Ikar, archeologia, kubelek, nowala, bar, lek, anion, „Toto”, stal.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Stefan Cieslikowski, Łódź, ul. Sanocka 24, m. 10.
2. Bolesław Wojewódzki, Opoczno, ul. Kościuszki 13.

Łódź przyszłości

RADIOWE CENTRUM NADAWCZE

Autory architekci: A. Kościński, W. Koźmiński.

Konstr.: inż. M. Kwieciński i A. Sawczuk
Rys. Jerzy Samujło

9 str. **odgłosy**

NRF i przypowieść o św. Dionizym

Kiedy myślę o Niemieckiej Republice Federalnej zawsze przychodzi mi na myśl powiastka o świętym Dionizym. Otóż święty Dionizy przyszedł kiedyś do Paryża z głową pod pachą i kiedy ktoś z rozentuzjanzmowanego tłumy witających zapytał świętego Dionizego, w jaki sposób to uczynił, ów odparł: Najtrudniejszy był pierwszy krok, potem już się jakoś szło...

Powiastka ta rzeczywiście pasuje jak ulał do polityki Niemieckiej Republiki Federalnej. Otóż przed dziesięć lat, kiedy w Trzonie pod moznym protektoratem USA przychodziła na świat Niemiecka Republika Federalna, kanclerz Adenauer uroczyście obwieszczał światu, iż Niemcy Zachodnie, pomnie historii, nigdy już nie wkroczą na drogę zbrojeń. 4 lata później w czasie ratyfikacji Paktu Atlantycznego zastrzeżono, że Niemiecka Republika Federalna posiadać będzie jedynie konwencjonalne siły zbrojne, o produkcji broni rakietowej i nuklearnej nie może być mowy. Przed trzema laty, gdy podpisywano układy paryskie była już tylko mowa o tym, iż Niemcy Zachodnie nie mogą produkować broni rakietowej i nuklearnej, natomiast nie było już wzmianki o tym, iż nie mogą jej posiadać.

W międzyczasie kanclerz Adenauer zmienił kat swych straszących przemówień o 180 stopni. Kanclerz chętnie mówił o naukach historii, o pokojowej roli Niemiec, potrażał często gałązką oliwną. Wraz z upływem lat, w miarę jak wzrastał ekonomiczny i militarny potencjał NRF, Adenauer coraz częściej mówił o specjalnej roli Niemiec w Europie, o konieczności obrony pokoju... siłą, potęgą militarną Niemieckiej Republiki Federalnej.

Najtrudniejszy okazał się tylko pierwszy krok. Najtrudniej było działać w sytuacji, kiedy wszystkie narody europejskie, w tym i naród niemiecki, żywo pamiętały jeszcze minioną wojnę i prowadzącą do niej prostą ścieżkę hitlerowskiej polityki. Gdy jednak zdolano syrenim śpiewem i miliardami amerykańskich dolarów stępić pamięć minionej wojny,

stąpić poczucie nowych, narastających niebezpieczeństw, wówczas tradycyjny szlak niemieckiej militarystyki stanął już otworem dla bońskich polityków. Oczywiście dążenie do militarystyki Niemiec wywodzi się z jakiejś określonej polityki. Tę politykę określa dobitnie często używane, ale mimo to wciąż aktualnie określenie „z pozycji siły”.

To właśnie potęga ekonomiczna i militarna Niemiec ma stanowić podstawowy instrument politycznego działania NRF, dzięki niej NRF ma odgrywać coraz bardziej decydującą rolę w obozie zachodnim i dzięki niej doprowadzić do zjednoczenia Niemiec na swoich warunkach.

Chcę zwrócić uwagę na bieżące aktywa polityki militarystyki Niemiec. Mówi się o niej i pisze u nas często, ale przeważnie dość ogólnikowo. Otóż NRF już dziś posiada pod bronią 140 tys. żołnierzy (w tym połowa zawodowych). Dyrektora NATO pod kryptonimem MC-70 przewiduje utworzenie w ramach Bundeswehry 70 batalionów rakietowych, przy czym każdy z nich będzie dysponował 40-50 wyrzutniami rakiet. Siły lotnicze NRF stanowiąć będzie 2700 samolotów bojowych.

Przed trzema miesiącami prasa nasza niezwykle szeroko informowała społeczeństwo o zakupieniu przez NRF w USA pięćdziesięciu par rakiet o średnim zasięgu typu „Matador”. Czas tak szybko odlicza postępy militarystyki w NRF, że dziś, po trzech miesiącach te groźne rakiety wydała się już mało groźna zabawka w porównaniu z tym co nowe w kronikach militarystyki.

Kilka tygodni potem odbyła się w Bundestagu „debaty atomowa”. Zachodni niemiecki Bundestag opowiedział się za uzbrojeniem Niemiec w broń atomową. Na razie nie ma mowy o własnej produkcji takiej bomby. Mogłoby to wywołać zbyt gwałtowny sprzeciw zachodnioeuropejskiej i rodzinnej niemieckiej opinii publicznej, ale... jak donoszą dobrze poinformowane źródła, w NRF w roku 1960 Niemiecka Republika Federalna będzie zdolna do wyprodukowania własnej bomby atomowej. A wówczas ukuje

się nową formułę, w której będzie mowa o tym, iż „wolny świat” bez niemieckiej bomby atomowej nie może istnieć. Trucizną trzeba doważyć i o tym dobrze wiedzą bońscy stratedzy.

Już po uchwaleniu przez Bundestag przyszłych zbrojeń atomowych dla Bundeswehry zaszły nowe wypadki, które w konsekwencji stanowią chyba najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla pokoju. Powstało niemiecko-francusko-włoskie konsorcjum zbrojeniowe oparte głównie o niemiecki kapitał. Już dziś konsorcjum to przystąpiło do produkcji rakiet. Na razie tylko przeciwpancerne, ale... jak mówił św. Dionizy najtrudniejszy jest pierwszy krok.

Według bońskich budżetu Niemiecka Republika Federalna wydać ma na zbrojenia w ciągu najbliższych 4 lat astronomiczną sumę 60 miliardów marek. Poważną część niemieckiego przemysłu będzie musiała w związku z tym przestawić się na produkcję zbrojeniową, a wówczas — na co wskazuje zresztą część prasy zachodniemieckiej — trudno będzie już skłonić wielki niemiecki kapitał do rezygnacji z kontynuowanych zbrojeń. Wskazuje na to kampania propagandowa w Niemieckiej Republice Federalnej. Otóż znaczna część prasy zachodniemieckiej domaga się od rządu, by zrezygnował z udzielania zamówień zbrojeniowych koncernom francuskim czy niemieckim. Są one zbyt lakomym kąskiem dla rodzimego zachodniemieckiego przemysłu.

Tak więc jedno jest niezaprzeczalnym faktem. Potęga militarna Niemiec rośnie z każdym dniem. Dziś konieczność jej wzrostu tłumaczy się jeszcze interesami NATO, jutro potęga militarna Niemiec może być już tak wielka, że NATO nie będzie jej już mogło poddać swojej kontroli.

Zrozumienie niebezpieczeństwa jakie płynie dla Polski z militarystyką Niemiec, jest bardzo żywe w naszym społeczeństwie. Mówi o tym w swym ostatnim exposé premier Cyrankiewicz. Pamiętamy historie, mamy szeroko otwarte oczy na to, co się dzieje w Niemieckiej Republice Federalnej. Ale musimy zrozumieć, że Polska może swą polityką jedynie bronić się przed następstwami militarystyki Niemiec. O samej zaś militarystyce decydują jednak rządy NRF, USA, Wielkiej Brytanii, Francji i innych państw Paktu Atlantycznego, a one z militarystyką Niemiec Zachodnich, jak dotąd, nie chcą zrezygnować. Świadczy o tym jak najdobitniej odrzucenie przez te rządy polskiego planu dezatomizacji środkowej Europy, planu Rapackiego.

Strasznie ciekawe, wręcz nieprawdopodobne, a przecież prawdziwe

ROZMAITOŚCI STAROPOLSKIE

czyli

Jak ojcowie jezuitów Dymitra Samozwanca na katolicyzm nawracali

Nie lada to problem i chyba jeden z najbardziej interesujących w historii Dymitriady (p. Nr 17 „Odgłosów”), jakie siły wyniosły samozwanego cara na tron na Kremlu; Zeby nie być posądzonym o stronniczość, zacytuję parę zdań z dzieła pt. „Czy jezuiti zgubili Polskę”, którego autorem jest ksiądz Stanisław Załęski T. J. (z Towarzystwa Jezusowego) wyd. Kraków 1883 r. Czytamy tam na str. 358: „Istotnie, po dzień nie umie historia rozstrzygnąć, czy Dymitr pierwszy był prawym Dymitrem, czy tylko samozwańcem; wszelkie argumenty prawdopodobności przemawiają za pierwszym. Uczyniwszy wszysko, co się tylko wtemczas uczynić mogło, aby się przekonać o słuszności sprawy Dymitra, nie mając żadnych przeszkód ani ze strony króla, ani od Rzpltej, postanowili jezuiti domu św. Barbary chwycić się jej z pobudek i w widokach czysto religijnych. Dymitr umiał, wybornie odgrywać swą rolę”.

Tutaj Sz. Autor sobie przeżył, bo skoro „wszelkie argumenty przemawiają”, że Dymitr był prawym następcą tronu, to po cóż by miał „odgrywać rolę”? Ta sprzeczność jest zrozumiała. Autor znajduje się w rozterce. Z jednej strony chciałby przedstawić ojców jako popierających tylko czystą sprawę, a z drugiej — sam nie wierzy w to, że Dymitr był potomkiem Iwana Groźnego. Ale czytajmy dalej: „Nawrócony do katolicyzmu składał coraz to nowsze dowody gorliwosci konwertyta. W sam dzień pierwszej swej komunii (20 kwietnia) wręczył nuncjuszowi list do papieża Klemensa VIII, w którym siebie i ludy

państwa swego poddaje w opiekę Stolicy św. i oświadcza się z gorącymi chęćmi popierania unii u siebie, a podjęcia wojny przeciwko Turkom. Jakoż Bóg szczęścił orężowi Dymitra”.

Wszystko to bardzo dziwne i pełne sprzeczności, bowiem na stronie 360 i 361 tego dzieła Szanowny ksiądz-historyk pisze: „Ojciec Sawicki uważa to (spisek i zamordowanie Dymitra) za dopust i sprawiedliwą karę bożą” — o raz: „Lichy to był człowiek ten Dymitr oddawał się rozpuciu, utrzymywał stosunki z czarodziejami, heretykom wolny wstęp dawał”.

Naturalnie, Samozwaniec szukając sojuszników zwrócił się do najpotężniejszej z ówczesnych sił politycznych. Zeby jednak zdać sobie sprawę z potęgi Towarzystwa Jezusów, warto zasnąć opinią znawców. A. Tondi, który spędził 16 lat w murach Zakonu i którego wydana w 1956 w tłumaczeniu ksiądzka „Jezuiti nie znalazła, oczywiście, właściwego oddźwięku w postępowej prasie polskiej, pisze, że specjalne duchowe i psychologiczne wyrobienie każdego członka Zakonu ułatwia jezuitom zdobywanie wpływów politycznych. W ciągu czterech wieków swego istnienia Zakon Ignacego Loyola „nurzał się stale w krętych manewrach polityki watykańskiej”. Tondi przypomina nazwiska o. o. jezuitów, wpływowych doradców mężów stanu, jak Franciszek La Chaise spowiednik Ludwika XIV (u nas w Polsce ksiądz jezuita Bartsch był spowiednikiem Zygmunta III). W czasach najnowszych między innymi o. Pietro Tacchi-Venturi był mężem zaufania Mussoliniego, a o. Lopez — Alfonsa XIII, króla Hiszpanii.

W Polsce najwyższe wpływy osiągnęli ojcowie za panowania Zygmunta III. Zarówno sam król, jak i obie jego koleżanki zony Austrjackiej Anna i Konstancja oraz wszechwładna oehmistrzyni Urszula Mayeringier, favorita del Re e Regina (metresa młodszego o 20 lat od niej królewicza Władysława, jak twierdził Fr. Siarczyński), a także bogobojny podkomorzyna Bobola — byli związani osobistymi węzłami ideowymi z Zakonem jako tzw. „przybrani” (affiliati) i przypuszczeni osobnym dyplomem agregacyjnym do przywilejów, zasług zbiorowych i łask Zakonu przed Bogiem. Jezuiti na dworze królewskim (zwani „patres aulici” czyli ojcowie dworscy) należeli do ścisłego kółka domowego króla, który z nimi poufale rozprawiał w grodzie familijnym zarówno w sprawach prywatnych, jak publicznych.

Dymitr po przyjeździe ze swym protektorem wojewodą Mniszchem do Krakowa zorientował się szybko, że nieoficjalne poparcie przez króla i paru magnatów nie wystarczy do realizacji jego śmiałych planów, i zaczął rozglądać się za potencyjnymi sojusznikami.

Stolica Apostolska od stu lat siedziała uważnie wypadki w Moskwie spodziewając się, że uda jej się naklonić Moskiewian do połączenia z Kościołem katolickim.

Przebiegły Dymitr postanowił wykorzystać koniunkturę i nawiązał stosunki z nuncjuszem papieskim Rangonim i ojcami jezuitami. Pierwszemu obiecał (w razie odzyskania tronu) wyprawę na niewiernych Tur-

ków, drugim — wprowadzenie Zakonu do Moskwy i budowę kościołów katolickich w stolicy swego państwa.

Ojczaszkom w to właśnie grał! Byli zachwyceni, tym bardziej, że Samozwaniec zadeklarował gotowość przejścia na łono kościoła katolickiego i składał dowody zdumiewającej pobożności, brał udział w nabożeństwach i chodził z zapaloną świecą w procesji w towarzystwie pobożnego twórcy Kalwarii Zembrzydzkiej, wojewody Zembrzydzkiego.

Można zrozumieć (nie pochwalając) praktyki polityczne Samozwanca powodującego się zasadą „cel uświęca środki”. Ale trudno zrozumieć i pojąć moralność ojców jezuitów, którzy wiedzieli doskonale, że Dymitr już raz przeszedł z prawosławia na arianizm, a teraz jak rekawiczki zmieniał to ostatnie wyznanie na katolicyzm. Ojcowie uczyli z wiary narzędzie polityki nie cofając się przed sprostowaniem świętości sakramentów w imię ludzkich celów przyłączenia Moskwy do Kościoła katolickiego.

Dymitr obawiał się, żeby towarzyszący mu w Krakowie stronniacy prawosławni, nie odwrócili się od niego, i zmiana wyznania odbywała się w wielkiej tajemnicy i konspiracji. Spotkania z o.o. jezuitami ks. Grodzickim i ks. Sawickim miały miejsce w domu arcybiskupa wojewody Zembrzydzkiego (późniejszego rokoszanina). Ojów jezuitów dostawiano potajemnie, przed przybyciem Moskwiom, do domu Zembrzydzkiego, a następnie przez ukryte drzwi wprowadzano do komnaty, w której czekał przyszły car.

Samozwaniec miał wątpliwość co do pochodzenia Ducha Świętego od Ojca i Syna oraz czy udzielanie Komunii pod jedną postacią nie jest przeciwne Pismu Świętemu, a również co do tego, czy wszyscy chrześcijanie powinni uważać papieża za namiestnika Chrystusa i następcę Piotra świętego?

Wytrawni znawcy teologii, księża jezuiti „rozproszyli” po paru spotkaniach wątpliwości Moskwičina.

Dnia 24 kwietnia 1605 roku w lokalu nuncjatury w Krakowie Samozwaniec wysłuchał mszy świętej, odbył spowiedź i przyjął rąk nuncjusza Rangoniego sakrament Ołtarza (wszystko to w tajemnicy przed bojarami i swymi prawosławnymi dworzanami). Następnie został nuncjusz Rangoni podarował mu Baranka Bożego w złotej oprawie i dwadzieścia pięć dukatów węgierskich.

Na zakończenie tej — jak się już wówczas wyrażał wielki kanclerz i hetman Jan Zamoyski — „komedii Plauta czy Terencjusza” wystosował Samozwaniec list hołdownczy do papieża Klemensa VIII.

Tak się to wszystko odbyło przed słynną i zwycięską dla Dymitra wyprawą na Moskwę.

I oto o. jezuita ksiądz Załęski w swym wiekopomnym dziele „Czy jezuiti zgubili Polskę” pisze o tej grzesznej, nowozdobyciej dla Kościoła ołowicie: „... swoją drogą lichy to był człowiek ten Dymitr”.

Taka to wdzięczność ludzka, przepraszam — jezuitok!

Widoki dawnej Łodzi

Do najokazalszych budowli w dawnej osadzie „Łódce”, należy bez wątpienia, pierwszy murywany kościół katolicki św. Krzyża.

Fundamenty pod budowę kościoła położono już w r. 1860, lecz właściwa budowa trwała w latach 1872-75. Od r. 1875 do 1885 r. był kościołem parafialnym mariackiej Starego Miasta. W maju 1888 r. uroczyste konsekracji świątyni dokonał arcybiskup Papiel.

Kościół stanął przy ulicy dzikiej tzn. nieregulowanej i niewytoczzonej na planie osady z r. 1841, która na początku XX w. otrzymała nazwę Mikołajewskiej — na wprost „Placu Cyklistów”. Z boku kościoła biegł stary łódzki trakt Przejazdem zwany.

Fotokopia obrazu (olej) E. Giegiera, przedstawia kościół św. Krzyża wystawiony wg projektu znanego i cenionego w Królestwie Polskim budowniczego — Tournele’a. Urządzenia wewnętrzne projektował war-

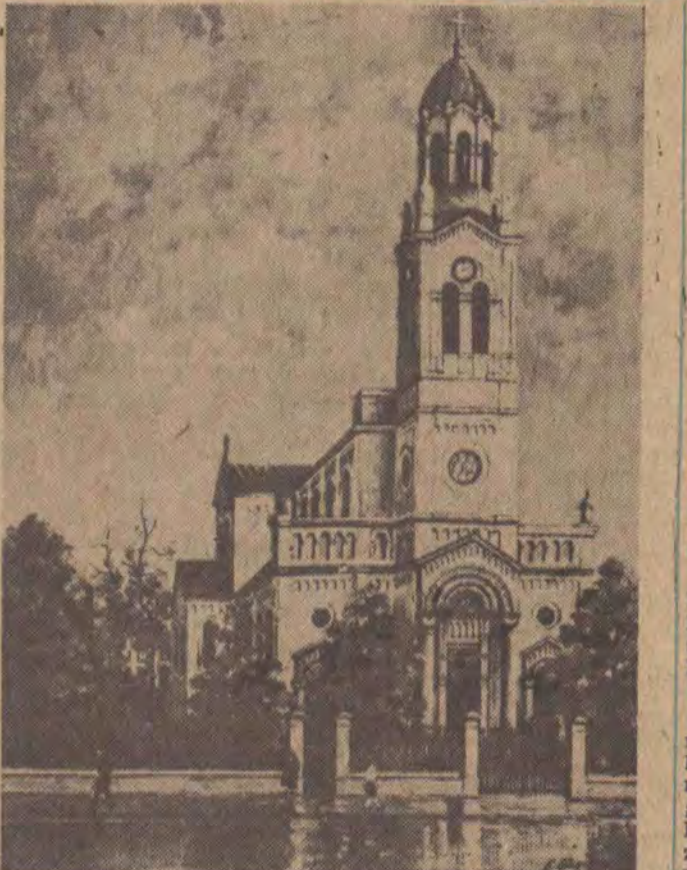
szawski architekt K. Wojciechowski. Kościół obliczony był na 3 tys. osób.

Na obrazie widoczne jest stare ogrodzenie, częściowo zburzone przez Niemców w okresie ostatniej okupacji, a które zostało całkowicie zebrane po r. 1945. Kościół ten zbudowano w stylu neoromańskim w kształcie krzyża o trzech nawach, systemem bazylikowym z jedną wieżą na froncie, ozdobioną zegarem.

Wewnątrz posiada 5 ołtarzy i 2 kaplice. Zabytków sztuki, poza starym (z końca XIX w) głównym ołtarzem i dębową amboną — nie posiada.

Godna jest uwagi rzeźba w marmurze (piaskowca) przy lewej nawie, przedstawiająca ks. Kordeckiego na murach Częstochowy obleganych przez Szwedów. Przy Kordeckim z jednej strony stoi zbrojny żołnierz, z drugiej człowiek z ludu. Statuę tę wzniesiono w 1903 r. z inicjatywy redakcji łódzkiego „Rozwoju”.

ZDZISŁAW KONICKI



ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

W ruinach sulejowskiego opactwa zmarł w tajemniczych okolicznościach, H. Pronobis, sędziwy zbieracz ex librisów. Jego przyjaciele, poeta Nataniel i publicysta Tomasz, postanowili odnaleźć zabójców Pronobisa. Podejrzewają oni, że ze śmiercią ich przyjaciela ma coś wspólnego tajemnicza sprawa zaginięcia posiadanej przez Pronobisa testamentu rycerza Baldaricha-Baldrzycha. Ze śmiercią Pronobisa pozostają także w ścisłym związku dwaj biali mnisi, którzy próbowali wtargnąć do niego oraz piękna młoda kobieta, zwana Czarną Miladą wraz ze swą bandą: Szefem, Szczyrkiem i Bachem-Majonosym. Po przeżyciu kilku ciekawych przygód, m. in. niezwykłych kradzieży w pałacu w Borowie, przyjaciele rozstali się, Tomasz wyjechał za granicę.

CZĘŚĆ TRZECIA

BALDARICH - BALDRZYCH

Rozdział pierwszy pt.

FALSZERZ

„A potem wyjechałem znowu za granicę, skąd pisałem sprawozdania z paru ważnych konferencji — a wszędzie i zawsze towarzyszyła mi gruba, papierowa teczka zawierająca notatki i zapiski dotyczące dzieł sulejowskich opatów. Trzymały mnie te „dzieła” na powierzchni życia jak pas ratunkowy, miały dla mnie posmak zakazanego owocu, były moim buntem i protestem przeciw narzucanemu porządkowi myślenia. Z prawdziwą satysfakcją między jedną, a drugą konferencją, w podróży zasiadałem z powagą nad sprawami świątobliwych opatów. Były dla mnie piękne — bo nikt mi ich nie kazał pisać. Były tym piękniejsze — im mniej było sensu w zagłębieniu się w te dawne zamierzone i zapewne nikomu dziś niepotrzebne sprawy.

...Po opacie Willermie zwanym Guillerms albo Vilhelmus, który zmarł w 1235 roku — rządzą w sulejowskim klasztorze opat Piotr.

Był on jak by przeciwieństwem opata Willerma, a przez to jednocześnie jak by jego najdoskonalszym uzupełnieniem. Różnił się krańcowo swymi charakterami. Pierwszy odznaczał się rzutkością, śmiałością i niezwykłą przedsiębiorczością, drugi — opanowany, każdą decyzję wazył długo i ostrożnie, posiadał szerszą i głębszą wiedzę, i na niej opierał swój spryt. Zapobiegliwy opat Willerm, często gości nie przebiegając w środkach, zgromadził wokół klasztoru wielkie bogactwo wsi, wybudował wspaniałą kościół romański, uczynił Sulejów jednym z najzamożniejszych opactw w Polsce. Piotrowi przyszło bronić tych wszystkich zdobyczy Willerma, usadniać często wątpliwe prawo klasztoru do posiadania tej czy owej majątku.

Można śmiało rzec: Willerm zdobył, a Piotr usadził teoretycznie, że zdobycy winna należeć do klasztoru.

W „Kopiarzu Sulejowskim” pod datą 1261 rok znowu pada nazwisko Baldaricha-Baldrzycha. Wspomina je dokument legata papieskiego Gwidona. W tymże roku rycerz z diecezji wrótławskiej, Zbigniew de Stolna, pozwał opata Piotra przed sąd legata w sprawie o wieś Baldrzychów nad Nerem. W skardze swej pisał rycerz de Stolna, że wieś tę posiadał prawem dziedzicznym dziad jego imieniem Baldaricus, winien więc klasztor zwrócić ją wnukowi jako jego ojcowiznę.

Postawiony przed sądem legata opat Piotr twierdził, że wieś Baldrzychów kupił opat Willerm, że nie była to wieś dziedziczna, że własność klasztoru potwierdza bulla konfir-

macyjna papieża Honoriusza III z 1230 roku. Lecz bulla ta, choć rzeczywiście wspominała wieś Baldrzychów wśród ogółu klasztornych majątków, nie mówiła jednak na jakiej zasadzie — „a quo vel unde” — klasztor tę wieś posiadał. Sąd legata odrzucił więc bullę jako dowód niewystarczający.

Piotr poprosił o wyznaczenie nowego terminu rozprawy i przybył na nią już z nowym dowodem — tym razem z dokumentem konfirmacyjnym księcia Konrada Mazowieckiego z r. 1237. W dokumencie tym wyraźnie zaznaczono, że Baldrzychów jest „bonum deservitum”, a nie „patrimonium” i wobec tego nie podlega prawie retraktu. Sąd wydał wyrok, że dokument przedstawiony przez Piotra jest „non cancellata, non abolita, nec in aliqua sui parte viciata”, skargę Zbigniewa de Stolna odrzucił, nakładając nań wieczyste milczenie.

Zwycięstwo opata Piotra wydało mi się podejrzane. Dziwnie łatwo bowiem zjawily się w jego rękach potrzebne dokumenty. Wątpliwe są dokumenty, których nie ma, a potem znajdują się gdy ich potrzeba.

Z wątpliwości swych i podejrzeń zwierzylem się listownie Natanielowi. Wkrótce otrzymałem od niego dwa obszerne listy: „Carissime Frater” — pisał do mnie mistrz Nataniel w liście z kwietnia 1952 roku.

„Wielkim smutkiem przejmuję mnie, drogi Tomasz, tragedia ludzi, którzy urodzili się o 50 lat za wcześnie lub o 50 lat za późno. Cóż jednak powiedzieć o nas, którzyśmy spóźnili się o jakieś pięć wieków? Widzę Cię w stroju dwunastego z opatów sulejowskich, z mitrą, z pastorałem, z biskupim pierścieniem na palcu — a miałbyś do niego prawo jako opat Tomasz, przełożony klasztoru o stałym miejscu zamieszkania. I placę na myśl, że ubrany w granatowy garniturek uczestniczysz w Poważnych Konferencjach, wiem bowiem — że Cię one ani ziebia, ani grzeją. Ostatnie Twoje sprawozdanie z takiej konferencji pisane było stylem mnichów średniowiecznych i świątobliwych Francuzów XVII wieku, o których tak pięknie czyta nas ksiądz Bremond. Strzeż się doskonałości stylu, mój Tomasz, albowiem doskonałość jest mało odkrywczą! I choćby Cię po stokroć kłuli w oczy Flaubertem i Parandowskim, nie uwieczając nic temu ostatniemu. Wierz mi jednak, gdy się zwierzę — tylko głupi sądzą, że piszą oryginalnie — ratuje ich bowiem niedoskonała znajomość literatury.

A teraz gdy Twoje gołębie serce wybaczyło mi drobne uszczypliwości, pozwól, że zawiadomię Cię o radosnej nowinie. Otóż stało się zadość naszemu postanowieniu. Na grobie Herakliusa Pronobisa opoczęła duża płyta nagrobkowa. Jest ona z czarnego marmuru, na tyle piękna, aby wyróżniała się wśród szarych murów opactwa, nie na tyle jednak wspaniała, aby razić w otoczeniu skromnego cmentarza mnichów. Swą pamięć o Pronobisie wyraziłymi więc w sposób trwały i namacalny.

„Drogi Tomasz, sprawiłeś mi w Sulejowie transport płyty do opactwa. Most na Pilicy naprawiano, płytę więc trzeba było na drugi brzeg przewieźć promem. Lecz jakże sobie opłacić mi się ten trud! Wyobraź sobie, przewoźnik trapiący jakimś religijnymi wątpliwościami, biorąc mnie za uczzonego męża, zadał mi pytanie: „Czy mnichom wolno przeklinać?” Oczywiście, nie sensownego nie potrafiłem odpowiedzieć, jak wiesz dobrze, jestem liberałem i nie widzę powodu, dla którego ten czy ów człowiek, niezależnie od tego, czy nosi epodnie czy też suknię zakonną, ma odmówić sobie odrobiny przekleństw — o ile, rzecz jasna, wypowiedział je w dobrej polszczyźnie. Zainteresowała mnie jednak przyczyna tak dziwnego pytania. Wyjaśnił mi, że przed pół godziną przewoźnik promem do opactwa dwóch mnichów w białych habitach. Jeden z nich przez cały czas kłął z cicha, ale jedrnie, co bardzo zadziwiło poczciwego przewoźnika.

Znowu więc zjawili się dwaj biali mnisi, mordercy Pronobisa. Zaledwie dobieśliśmy do brzegu, pośpiesznie porzuciliśmy prom i począłem myśzkować po całym opactwie. Nieestety, po mnichach wszelki ślad zaginął, a przecież przybyli do opactwa na pół godziny przedem.

Kryje się za tym, drogi Tomasz, bardzo tajemnicza historia. Mam nadzieję, że po powrocie do kraju pomożesz mi ją rozwi- kłać.

Od owej chwili odwiedziłem opactwo jeszcze dwukrotnie. Przyciągało mnie tam piękno starych murów, które z każdą bytnością ujawniało mi się coraz to od innej strony. Ach, jakaż wspaniała cisza panuje wśród tych wież i baszt. Każda z tych baszt jest inna, każda skończenie piękna. A u stóp migoczą w słońcu rzeka.

Wędrowki po opactwie dostarczają wciąż nowych wrażeń. Nie dziwię się już Pronobisowi, że potrafił przeżyć tu samotnie tyle miesięcy i ani razu nie poskarzył się na nudę.

Nie zawsze jednak jest to jakiś szczególny architektoniczny. Czasami... No cóż, powiem Ci jasno i od razu. W pustej izdebce po Prono-

bisie zamieszkała od niedawna młoda i piękna dziewczyna. Przedstawiła mi ją kiedyś, nazwała ją „Babie lato”. O ile wiem, nie przeboleła jeszcze rozstania z nią, zranie Ci więc serce wiadomością, że przebywa tu wraz z malarzem Bogumilem W. On maluje opactwo, przygotowując się do ogólnopolskiej wystawy krajobrazu, ona rzuciła pracę i towarzyszy mu, choć, jak wyznała mi w długiej rozmowie, pobyt w Sulejowie wydaje się jej monotony.

Napotkałem ją nieoczekiwanie podczas jednej z mych samotnych wędrowek po ścieżkach wśród ruin i baszt. Wybiegła mi na przeciw spod złamanego ramienia arkady refektarza. Jej przejrzystą suknię w kwiaty prześwietliło słońce, jak szklany witraż klasztorny. Widziałem ją jak by nagą i taką już chyba pozostanie w mej pamięci.

Na mój widok wydała radosny okrzyk, pytała o Ciebie i widziałem w jej oczach szczęście na myśl, że jesteś w pobliżu. Potem był już tylko smutek.

Spędziliśmy razem całe popołudnie aż do wieczora. Jej malarz pracował na stoku wzgórza, a my trzymając się za ręce wędrowaliśmy daleko brzegiem rzeki. Mówiłem o świątobliwych opatach sulejowskich i o Tobie, jednym z nich. Migotała rzeka niosła jej śmiech, gdy opowiadałem nasze przygody w Borowie, o zmroku płakała wraz ze mną u grobu Herakliusa, tuliłem ją i okrywałem płaszczem, bo dotkliwie kąsał chłód ciągnący od rzeki. Później odprowadziła mnie aż do promu. Na pożegnanie długo kiwała ręką, a ja odpływałem wolno, wolno... aby powrócić następnego dnia. Albowiem, drogi Tomasz, miłość jest wtedy wielka, gdy wzmagają ją krótka rozłąka — o czym poucza Cię niecierpliwie oczekujący końca rozłąki z Tobą Twój przyjaciel Nataniel.

„Carissime Frater” — pozdrowiał mnie Nataniel w następnym liście.

„Spełniłem Twoją prośbę i w sprawie dokumentu konfirmacyjnego Konrada Mazowieckiego z roku 1238 udałem się do profesora M. Przysłałem Ci jego opinię o tym dokumencie. Wydaje mi się, że nie wymaga ona komentarzy.

OPINIA PROF. M.
O DOKUMENCIE KONFIRMACYJNYM
KONRADA MAZOWIECKIEGO
KSIĘCIA KRAKOWSKIEGO
I MAZOWIECKIEGO.

„Dokument ks. Konrada zatwierdzający klasztorowi sulejowskiemu nadanie wsi Baldrzychów przez księcia Leszka Białego — uchodził w całej prawie bez wyjątku literaturze za oryginalny niepodważalny.

Spisany on jest na wąskim skrawku pergaminu, o nieco gładziej powierzchni wewnętrznej niż zewnętrznej, o minimalnych marginesach. Na spłowiłym sznurku jedwabnym niegdyś zdaje się czerwonym, wisi pleczę koronna ks. Konrada. Wyobraża ona jeźdźca w hełmie na głowie, z tarczą w lewej i z proporcem w prawej ręce, na koniu pędzącym w stronę lewą. Obok jest napis:

† (S. CO)NRADI DVJCIS CRACOVIE
MAZOVIR SUDUM (IREE) LVCICIE.

Niewątpliwie pleczę jest autentyczne. Występuje ona przy kilku zachowanych dokumentach z lat 1231, 1237, 1238, 1242.

Pismo dokumentu przedstawia się jako staranna i wyraźna minuskuła gotycka średniej wielkości. Trzonki są ostro załamane częściej jednak owo łamanie wskutek pośpiesznego kreślenia przybiera kształt tępych nasadek. Na ogół charakter pisma zdaje się wskazywać na połowę XIII wieku.

Możliwością są dwie: albo dyplom ten jest oryginałem z roku 1238, albo jeśli był fałszykiem — musiał powstać w drugiej połowie XIII wieku.

„Ale decydującym jest to, że świadkowie występujący w dyplomie Konrada, wykazują niezgodność z datą dyplomu. Nie dotyczy to synów Konrada, Ziemowita i Kazimierza, którzy w tym czasie występowali niejednokrotnie u boku ojca. Natomiast już Wolmir nie mógł w r. 1238 piastować przypisanej mu godności kanclerza księcia Konrada, gdyż współcześnie znany jest jako kanclerz tego księcia — mistrz Jan z Krakowa. Doblesław również nie mógł być w roku 1238 sędzią księcia Konrada, pojawia się on bowiem na tym stanowisku dopiero w 1243 r., zaś w latach 1228—1235 stanowisko to zajmują Sieciech, a po nim Mściwój.

Jednym słowem — świadkowie nie odpowiadają dacie dyplomu — są późniejsi.

Przypuszczalnie dokument jest w całości zmyślony. Skąd się więc wzięła na nim autentyczna pleczę? Najprawdopodobniej odjęto ją od innego dyplomu. Właśnie brak jej przy autentycznym dokumencie z r. 1238. Profesor M.”

A jednak Nataniel nie wytrzymał, żeby nie zrobić dopisku:

„Carissime Frater, rycerz Zbigniew de Stolna, wnuk rycerza Baldaricha-Baldrzycha został więc szczerze oszukany przez genialnego fałszerza, opata Piotra. Ciekawe czy to fałszerstwo ma jakiś związek z osobą opata Bernarda działającego przeciw dopiero w wieku XVII, a więc w czterysta lat później? I co miał z tym wszystkim wspólnego ów spalony na stosie Baldarich-Baldrzych, potomek Zbigniewa de Stolna? Trawiony tymi pytaniami tym niecierpliwiej oczekuję Twego powrotu do Polski, Nataniel.”



P. S. Z Twojego ostatniego listu, drogi Tomasz, wywnioskowałem, że masz odrobinę żalu do mnie, przestałem bowiem odwiedzać Przekłętą, goszczę w sulejowskim opactwie, i nie wiem co się dzieje z Czarną Miladą. Mój miły, skoro przestałem jeździć do Przekłętą, gdzie, jak twierdzisz, bywa Czarna Milada, skądże mogę ją spotkać? Spotykam natomiast „Babie lato” i o to, zdaje się, masz żal.

Nie na tym polega żal, Tomasz, że ja uwodzę „Babie lato”, ale na tym, że ona porzuciła Cię w swoim czasie, teraz żyje z malarzem W., flirtuje ze mną, a kocha się wciąż w Tobie.

N.”

Rozdział drugi pt.

„MNISZKA”

W redakcji „Bibliofila Polskiego”, gdzie zameldowałem się prawie natychmiast po przyjeździe, „Ten stary szympans” przyjął mnie bardzo przychylnie. Był wyraźnie zadowolony z mej trzymiesięcznej pracy za granicą i wyraził zgodę na urlop, który zamierzałem przeznaczyć na poszukiwania zabójców Herakliusa Pronobisa, a przede wszystkim na odnalezienie Czarnej Milady. „Serce bohatera” serdecznie polepał mnie po plecach:

— Zmężniałeś, Tomasz. Tam tacy jak ty mężnieją. Masz teraz twardy styl. Jakbyś rył słowa w granicę.

— Zmężniał? — rzekła z powątpiewaniem „Mniszka”, krytycznym wzrokiem obrażając moje dość wątłe ramiona.

A kiedy opuściłem gabinet Naczelnego, wybiegła za mną na karykaturę i powiedziała surowo:

— Tomasz, twoje reportaże i korespondencje zupełnie mnie zawiodły. Ty wciąż jeszcze potrzebujesz pomocy.

— Tak myślisz? Na jakiej podstawie, jeśli można zapytać? — odrzekłem dość gburawo.

— Ukryłeś przed nami, Tomasz, że byłeś w Borowie wraz z mistrzem Nataniellem. O, to na pewno wielki poeta. Ale czy jest to właściwy towarzysz dla ciebie? On odważył się na jednym z zebrań poetów stanąć w obronie tego wstrętnego sługusa burżuazji Bertranda Russela i wygłosił mowę o szkodliwości cnotliwych ludzi.

— A poza tym, kochanie? — zapytałem już grzeczniej.

— Podczas twojej bytności za granicą trzykrotnie przychodziła do redakcji i pytała o ciebie niejaką pani Ewa T. Pragnęłam dowiedzieć się od niej jakie sprawy ją do ciebie kierują, ale nie udzieliła mi wyjaśnień. Pozostawiła tylko swój numer telefonu, z prośbą, abym ci go przekazała. Wybacz, zgubiłam gdzieś kartkę z numerem.

— Nie znam pani Ewy T.

— Nie znasz? — zapytała ironicznie.

— Ale ja ją znam dobrze. A raczej znalazłam jej rodziców, którzy posiadali przed wojną wielki majątek ziemski. Niedobrze, Tomasz, świadczy o publicyście, gdy z jednej strony rezygnuje z pomocy, jakiej chce mu udzielić redakcyjna koleżanka, a z drugiej zawiera przyjaźń z poetą-sceptykiem i z córką obszarnika.

— Ależ Anno, nie rezygnuję z przyjaźni z tobą... — zawołałam. — Jeśli chcesz możemy znowu razem chodzić do teatru.

— Do teatru? Dość mam teatru. Po każdym przedstawieniu jesteś śpiący i zmęczony.

— Więc może pójdziemy do kawiarni? — Co? Za kogo ty mnie masz? Nie będę chodziła tam, gdzie całymi godzinami przesiadują na płotkach przeróżne drobnomieszczanki.

(D. c. n.)

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł
Redakcja nie zamawia reprintsów i nie zwraca
Prenumerata przysyła wszystkie placówki pocztowe. Istnieje też PUPIK
„Ruch” - Łódź ul. Roosevelta 17. Konto PKO - Łódź 7 - 6-079
z zaznaczeniem na „Odrośły”
Druk „R.W. PRASA” - Łódź, Zwirki 17. Z. 1946. VI. 58. M-4



KRWAWY SKUTKI ODCHUDZANIA

Popularny aktor amerykański Anthony Franciosa („Kapelusz pełen deszczu”) został odwieziony do szpitala z sześćdziesięcymetrową raną na głowie. Rana nie jest na szczęście poważna i przystojnemu, amantowi nie grozi. No dobrze, ale co się



właściwie stało — zapytanie. Posłuchajcie uważnie Drogie Czytelniczki i Czytelnicy (ważne dla obu płci). Małżonka Franciosy Shelley Winters gra w filmie „Dziennik Anny Frank”. Rola jej wymaga, aby aktorka najpierw poprawiła się o 10 kilo, a potem szybko schudła, tracąc co najmniej 12 kg. Gwałtowna kuracja odchudzająca doprowadziła aktorkę do stanu całkowitego wyczerpania nerwowego. Skutki nie kazały długo na sobie czekać. Wystarczyło drobne nieporozumienie małżeńskie i flakon perfum wyśladował na głowie nieszczęsnego aktora. Jak słusznie twierdzi pewne francuskie czasopismo, czyn pani Winters trudno zaaprobować, ale można usprawiedliwić.

SKAT

ELŻBIETA ZECHENTER

„WIEWIÓRECZKA”

Prasa zachodnia nazwała ją „wielkim odkryciem XI festiwalu w Cannes”. Francuski tygodnik „Elle” zamieścił zdjęcie, gdy stoi w towarzystwie innej radzieckiej aktorki, Bernarda Buffet i Jeana Cocteau, który pokazuje gościom wnętrze zaprojektowanej przez siebie kaplicy. Zgodzimy się z sądem Cocteau, że bohaterka

wychodzi za mąż za brata niezującego Borysa. Dlaczego — nie wiadomo. Wiadomo tylko że jest wojna. Tę dosyć pokątną lukę scenarzystka zapełnia Tatiana sobą i każe wierzyć, że widocznie nie mogło stać się inaczej. Oczywiście wierzymy i z niepokojem śledzimy jej smutne życie, czekanie na list, pracę w szpitalu.

Narasta atmosfera grozy i tego, że coś musi się stać — gdy zrozpaczona Weronika biegnie wzdłuż torów, gdy przyjeżdżają nowe transporty rannych. Wojnę wyczuwa się w każdym kadrze, chociaż ten film nie posiada scen batalistycznych, ukazujących front w całej okazałości. Jest tylko zaplecze, z nalołami, z czekaniem, aż się to wszystko skończy. Nie ma patosu ani fałszu, chociaż czasem poniekąd nutka zabrzmi cokolwiek nieszczerze. I tak jak niewątpliwym osiągnięciem twórców „Żurawie” jest scena śmierci Borysa, tak rażą w filmie niepotrzebne przerysowania „czarnych charakterów”. Marka — meża Weroniki i środowiska „niebieskich ptaków”.



filmu „Lecą żurawie” nie jest piękna, ale ma w twarzy coś, co fascynuje widza. Krótka ankieta personalna:

Imię — Tatiana, nazwisko — Samojłowa. Lat — 22, zawód — aktorka filmowa, absolwentka moskiewskiego instytutu. Ale na razie niech będzie Weroniką, „Wiewióreczką”, zwyczajną dziewczyną w niezwykłych latach wojny. A takie są jej dzieje: Rodziców traci podczas nalotu. Ukochany chłopak ginie na wojnie, przegarnięta przez jego rodzinę

Przypuszczam, że zaważyła na takim ustawieniu postaci — poszczególne pojęcia moralności. Ale nie tylko. Obdarzenie Marka bogatym zespołem wszelakich wań, jest przejawem zbyt pieczołowitej troskliwości reżysera. Kalatozow wyraźnie obawiał się, że przystojny A Szworin (Marek) zjedna sobie sympatię widowni — co mogłoby pokrzyżować plany scenarzysty. Wychodzimy jednak z projekcji wzruszeni. Jest to przede wszystkim zasługa Tatiany.



Właściwie to nie bardzo wiadomo, w której rubryce pomieścić sympatyczną osobę p. Haliny Chmielewskiej. Pretendują do tego dwie rubryki. Niniejsza, czyli „Okienko ludzi sympatycznych” i nasza druga stała rubryka — „Sylwetki młodych twórców”.

P. Halina Chmielewska (skądinąd małżonka reż. Tadeusza Chmielewskiego, autora wyjątkowo milej komedii pt. „Ewa chce spać”) jest bowiem nie tylko sympatyczna, ale ukoń-

czyła także PWSF. Na zdjęciu, które reprodukuje poniżej widać p. Chmielewską obok znanej aktorki meksykańskiej Rosary Rewueltas, bohaterki filmu pt. „Sól ziemi” (Grand Prix na festiwalu w Karlowych Varach 54). Obecnie p. Halina razem ze swoim mężem pracuje nad scenariuszem komedii, którą nakrecać będą w najbliższym czasie.



ELSA MARTINELLI W ŻYCIU PRYWATNYM



Foto: „Epoca”

Sylwetki MŁODYCH TWÓRCÓW

Przed dwoma tygodniami przedstawialiśmy w niniejszej rubryce p. Andrzeja Czekalskiego. Pisaliśmy, że obecnie reż. Czekalski przygotowuje wraz z reżyserem Andrzejem Brzozowskim scenariusz filmu o tymczasowym tytule „Zalobny wieczór”. Dziś przedstawiamy reż. Brzozowskiego.

P. Andrzej Brzozowski ukończył przed trzema laty wydział realizatorski Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Oczywiście, po myśli obranej przez nas zasady piszemy jedynie o filmach, które zrealizował po ukończeniu uczelni. Jest to film o rzeźbie i znany ogółowi widzów obraz pt. „Rozmowy jazzowe”. P. Andrzej interesuje się baletem. Jego hobby — to natomiast bogata kolekcja dzwonek elektrycznych

Magnani podbija Amerykę



Anna Magnani w filmie „Jesteśmy kobietami”

Pozory często mylą. Zainteresowania amerykańskiej publiczności nie ograniczają się tylko do „atomowych” wdzięków Brigitte Bardot i Jayne Mansfield. Ameryka, w większej nawet mierze niż „wyrafinowana kulturalnie” Europa, potrafiła docenić ogromny i niezwykle oryginalny talent wielkiej artystki włoskiej Anny Magnani. A może Amerykanom zdruzzyli się już ekranowe kociaki? Świadczy o tym powodzenie tego typu aktorek jak Betsy Blair, Maria Schell, Dorothy Mac Gure, Virginia Mac Kenna. Magnani nakreśliła do tej pory dwa filmy w Ameryce „Wytatuowaną różę” (za

rolę w tym filmie otrzymała „Oscara”) i „Dziki wiatr”. Sukces był ogromny, zarówno artystyczny jak i kasowy. Dyrektorzy teatrów na Broadwayu bili się wprost o pozyskanie wielkiej Włoszki, chociażby na kilka występów. Jesienią 1958 Magnani znów wraca do Ameryki, by rozpocząć realizację nowego filmu „Orfeusz elescending”. Scenariusz został pomyślany i napisany specjalnie dla niej przez wielkiego dramaturga Tennessee Williamsa. Reżyserować będzie prawdopodobnie Sidney Lumet, twórca „Dwunastu gniewnych ludzi”. Jako partner Anny wystąpi utalentowa-

ny aktor młodego pokolenia Anthony Franciosa (nagroda w Cannes za „Kapelusz pełen deszczu”). Akcja filmu rozgrywa się jak zwykle u Williamsa na polu Stanów. Prowincjonalne miasteczko, gorączkowa atmosfera plotek, intryg, zmysłowej brutalności służy jako tło spotkania pełnej temperamentu sklepikarki z wędrownym Orfeuszem znad Missisipi. Niezależnie od „Orfeusza” Magnani otrzymała propozycję kreowania tytułowej roli w filmie opartym na sztuce Brechta „Matka Courage”.

SKAT